W numerze: JÓZEF PENC *W poszukiwaniu wolnego czasu* ● TADEUSZ GICGIER *Zaproszenie do Supraśla* ● HORACY SAFRIN *Sztuka pożycia małżeńskiego* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Recenzje* ● *Felietony* ● *Nowela kryminalna*

odgłosy

2 (738)
9. I. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

Fot. A. Różycki

TERESA WOJCIECHOWSKA

DZIECI CZY RODZICE?

Z niesłabnącym zainteresowaniem obserwujemy postępy techniki, powstawanie nowych gałęzi wiedzy, podróże kosmiczne, spacery po Księżycu, przemiany dokonujące się w świecie i naszym życiu, zastanawiamy się, jakie to dla nas będzie miało korzyści, jak zmieni nasze warunki bytowania, sytuację materialną. Znacznie rzadziej myślimy o tym, jaki wpływ wywierają te zmiany na naszą psychikę, a jeszcze rzadziej — jak oddziaływają na dzieci. Jakie wykształcają cechy charakteru, intelektu.

Minione dziesięciolecie przyniosło zmiany w najmniejszej komórce społecznej — rodzinie, w jej strukturze. Zmniejszyła się liczba rodzin wielodzietnych, wzrosła liczba jedynaków. Społeczeństwo kształci się. Więcej jest rodziców z podstawowym, średnim i wyższym wykształceniem. A więc — mniej dzieci, światlejsi rodzice. Czyli — lepsze warunki wychowania dziecka. Czy tak jest w istocie? Jak wykazują badania socjologiczne — wcale nie. Bo dorośli, albo się dalej kształcą, czy dokształcają, albo podnoszą stopę życiową, czyli bogacą, przeważnie pracuje obydwoje małżonków. I dalej mają za mało czasu dla dzieci, wcale nie więcej niż w poprzednim modelu rodziny. Wychowanie dziecka w dalszym ciągu spoczywa na babci, szkole i... telewizji.

Rodzice nie mają czasu dla dzieci. Podstawowe błędy wychowawcze to niecierpliwość, pośpiech, brak konsekwencji oraz stosowanie kar zamiast nagród. Jeszcze przed przyjściem na świat dziecka poradnie „K" uczą młodą matkę, jak ma dbać o prawidłowy fizyczny rozwój dziecka. Psycholodzy mówią z goryczą, że „hodowla" dzieci jest u nas wysoko postawiona. Nikt natomiast nie uczy matki, jak ma dbać o rozwój psychiczny dziecka, jak rozwijać jego charakter, zdolności, inteligencję.

Popularna jest w społeczeństwie teza, że dziecko powinna wychowywać szkoła. Istotnie, szkołę w coraz szerszym stopniu obciąża się funkcjami wychowawczy-

Dalszy ciąg na str. 3

JAN KOPROWSKI

KARTKI Z DZIENNIKA

ŚLADAMI DOSTOJEWSKIEGO

MOSKWA, 9. XI. 71

Z Warszawy wylecieliśmy o godzinie 9.25, przy pięknej, słonecznej pogodzie. Wraz z Adolfem Rudnickim weźmiemy udział w międzynarodowym zjeździe pisarzy, poświęconym 150-rocznicy urodzin Fiodora Dostojewskiego. Na wyjazd ten cieszyłem się od dawna, choć do ostatka nie było wiadomo, czy pojadę. Dostojewski zawsze bardzo mnie interesował. Teraz będę miał sposobność obejrzeć miejsca i pamiątki z nim związane, czego nie udało mi się zrealizować dotychczas. Zarówno muzeum w Moskwie jak i w Leningradzie było zamknięte od lat z powodu remontu i przebudowy. Ukazały się też zapewne jakieś nowe książki o pisarzu. Trzeba będzie pozbierać to wszystko i przyłożyć się na nowo do studiów nad twórczością autora „Braci Karamazow".

W Moskwie pochmurno i deszcz. Na lotnisku czekali na nas Wiktor Borysow i Aleksander Nikołajew. Zamieszkaliśmy w hotelu „Ukraina", przypominającym, jako żywo, nasz Pałac Kultury. Obiad w klubie Związku Pisarzy. Niespodziewane spotkanie z Janką Brylem, który przyjechał z Mińska do Pieredielkina, aby trochę popisać, a dziś wpadł do Moskwy. Oczywiście wypiliśmy po koniaku. Przed wyjazdem z kraju widziałem w Wydawnictwie Łódzkim „jaskółkę" zbioru opowiadań Bryla „Patrzeć na trawę" w przekładzie Macieja Józefa Kononowicza.

Do hotelu wracaliśmy piechotą przez Kalininskij Prospekt, który jest najokazalszą i najrzęsiściej oświetloną ulicą Moskwy. Długo nie mogłem zasnąć. Czytałem listopadowy numer „Literatury Radzieckiej", zawierający artykuły o Dostojewskim. Najciekawsze: fragment pracy Borysa Bursowa „Dostojewski. Jego indywidualność". Bursow rozważa problem „Pieniądz a natchnienie" w życiu i twórczości Dostojewskiego. Zdanie z jego rozważań: „Dostojewski to człowiek, który wierzy

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Wkraczamy w Nowy Rok w klimacie odprężenia międzynarodowego, które wprawdzie nie zwiastuje jeszcze końca konfliktów, ale przynosi uzasadnione nadzieje na umocnienie światowego pokoju. Z dokonanego na tym miejscu (patrz numer noworoczny) bilansu 1971 roku wynika, że są podstawy do krzepiących oczekiwań na bezkonfliktowe rozwiązania niektórych najważniejszych problemów światowych. Będziemy przeto z największą uwagą śledzić bieg wydarzeń już od pierwszych dni Nowego Roku. Łącząc nadzieje z czasem, który odmierzać będzie kalendarz w ciągu 12 najbliższych miesięcy, wróćmy jednak do dwóch „remanentów" grudniowych — tak ważnych, że warto im poświęcić nieco uwagi.

Tuż przed świętami zakończyła się kolejna sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ. Nowojorski korespondent Reutera określił ją jako „najbardziej dramatyczną, ale chyba i najważniejszą w ciągu 10 lat". Niewiele w tym przesady, jeśli zważyć, co sesja przyniosła. A więc: powrót Chińskiej Republiki Ludowej do ONZ i równoczesne usunięcie z tej organizacji reprezentacji Tajwanu, wyraźne zarysowanie tendencji do przyspieszania procesu rozbrojeniowego, wybór sekretarza generalnego ONZ...

Przez 3.702 dni, jak pieczołowicie obliczono, U Thant piastował swe stanowisko w ONZ. Były to często dni eksplozji konfliktów, a następnie ich wyciszania, aby nie zapaliły się szerokim płomieniem. U Thant swym realizmem i umiarkowaniem wniósł duży wkład w utrzymanie pokoju. Nic przeto dziwnego, że jego działalność jest oceniana zdecydowanie pozytywnie.

Nowym sekretarzem generalnym, jak wiemy, wybrany został Kurt WALDHEIM, reprezentujący dotychczas na forum ONZ Austrię.

W swym inaugurującym działalność wystąpieniu nowy sekretarz podkreślił dobitnie, iż będzie zawsze czuł się związany ze światowymi realiami. — Dlatego też szczególne znaczenie przywiązywać będzie do uniwersalności ONZ, którą on rozumie również jako dopuszczenie do organizacji delegacji krajów podzielonych. Jest to niewątpliwie zapowiedź przyjęcia do ONZ obu państw niemieckich, a w przyszłości — być może — obu państw koreańskich i wietnamskich.

Waldheim w swoim wystąpieniu, tak mocno podkreślając zasadę powszechności — wydobył trzy następujące funkcje ONZ, którym będzie podporządkowywał swoją działalność: organizacja ta powinna być skutecznym instrumentem realizacji zasad, zawartych w jej karcie, rzeczywistym forum międzynarodowej debaty oraz efektywnym czynnikiem zapobiegania konfliktom międzynarodowym.

Tak lakoniczne, ale i precyzyjne zarazem określenie funkcji w ONZ u progu działalności, zapewniło mu dobrą prasę niemal we wszystkich krajach.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jeden szczegół — Waldheim wygłosił przemówienie w części w języku angielskim, w części — we francuskim. Dla Francji i jej najbliższych sojuszników fakt ten ma szczególną wymowę: przynosi zapowiedź, że również francuski będzie roboczym językiem w ONZ.

Z grudniowych zaległości wymieńmy jeszcze wybory prezydenckie we Włoszech.

Długa, ponad 2-tygodniowa batalia wyborcza nie wyłaniała prezydenta dopóki nie zdecydowano się na znamienną zmianę: wycofania przez chadecję kandydatury Amintore Fanfaniego, który nie mógł uzyskać wymaganej większości głosów elektorów. Zastąpiono go kandydaturą Giovanni Leone, dwukrotnego premiera przejściowych rządów, przewodniczącego Izby Deputowanych. Ale i Leone w 22 turze głosowania, jaka odbyła się tuż przed świętami, nie uzyskał większości, chociaż do tej zabrakło mu zaledwie... jednego głosu. Było jednak wiadomo, że następne głosowanie przyniesie już rozstrzygnięcie. Tak też się stało.

Po niepowodzeniach wyborczych Fanfaniego siły przeciwne porozumieniu z lewicą stoczyły całą batalię, aby nie dopuścić do kandydatury Aldo Moro, który mógłby prawdopodobnie zapewnić sobie głosy socjalistów i komunistów. Pospiesznie więc wysunięto Leone, który jest wprawdzie centrowcem, ale wsparty został silnie przez chadecką prawicę, aby zablokować możliwość porozumienia z partiami lewicy. Wybór więc Leone z tej pozycji może oznaczać pewien zwrot na prawo i zastąpienie obecnie rządzącej centrolewicy — koalicją chadeków, liberałów, republikanów, monarchistów, co — jak pisze nasz korespondent z Rzymu — byłoby powołaniem do życia „centroprawicy".

Włochy po 16 dniach głosowania, w 23 turze wreszcie wybrały prezydenta. Czy jednak ten finał wywrze zasadniczy wpływ na życie polityczne kraju, o jakim mówiliśmy powyżej, będziemy mogli przekonać się po upływie dłuższego czasu.

Pierwszy noworoczny przegląd wydarzeń powinien zakończyć się akcentem optymistycznym. Wyprowadźmy go z faktu, że mimo różnych napięć i czasem niekorzystnego ewoluowania sytuacji w minionym roku — przyniósł on przecież wyraźną poprawę sytuacji międzynarodowej. I że rok 1972 rozpoczyna się w atmosferze lepszej niż poprzedzający go. Może więc i w naszych komentarzach będziemy mogli jeszcze optymistyczniej oceniać świat?

W. SŁAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Mafia: nowe czasy - nowe metody

„L'ESPRESSO" — RZYM

Jeśli zawartość zielonej teczki, położonej na biurku Antonio Barcellone, generalnego prokuratora Palermo, okaże się wystarczającym dowodem, by posadzić na ławie oskarżonych trzydziestu członków mafii, władze sądowe Sycylii mocno dostaną po nosie. Inicjatywa aresztów wyszła bowiem nie z prokuratury, lecz od komendanta karabinierów i naczelnika policji Palermo. To właśnie na ich żądanie w różnych rejonach Włoch — w Rzymie, Mediolanie, Neapolu, Caltaniccetto, tego samego dnia, zatrzymano i przewieziono do Palermo trzydziestu ludzi, należących do sycylijskiej organizacji terrorystycznej.

Jeśli w dodatku, na pięćdziesięciu stronach maszynopisu, znajdującego się w owej zielonej teczce, rzeczywiście figurują nazwiska porywaczy dziennikarza Mauro de Mauro i zabójców prokuratora Pietro Scallone, a przy tym okaże się, iż są to te same nazwiska, które są wymienione w raporcie pułkownika karabinierów, złożonym we wrześniu 1970 roku, natychmiast po zniknięciu de Mauro, a podpisanym także przez naczelnika policji po zabójstwie Scallone w maju 1971 roku, inaczej mówiąc — jeśli się okaże, że raport karabinierów i policji przeleżał prawie rok w safesach prokuratury, bo nikt nie chciał przyjąć go do wiadomości — wówczas autorytet sycylijskich kapłanów praworządności zostanie poniżony w sposób najbardziej bolesny.

W pamięci odżywa ceremonialny pogrzeb Pietro Scallone, kiedy to u grobu zamordowanego prokuratora przedstawiciele władz municypalnych i adwokaci, wiceministrowie i sędziowie zgodnym chórem deklamowali jednobrzmiące epitafium. W niepowstrzymanej fali retoryki, złotousti oratorzy prześcigali się w nawoływaniu do „ustanowienia w kraju silnej władzy". Ganili „organizatorów ogólnej anarchii, usiłującej zadać śmiertelny cios sądownictwu — tej ostatniej opoce obywatelskiego ładu i porządku". A wszystko to w określonym celu: ani jednym słowem nie dotknąć wszechobecnej, mściwej i rzeczywiście groźnej mafii.

Tymczasem u grobu Scallone stała w tym dniu właśnie mafia, i co więcej — mafia najbardziej niebezpiecznego rodzaju. Nie ta, tradycyjna, którą trzymali w rękach patriarchalni przywódcy w rodzaju don Caloggero Viccini i Giuseppe Genco Russo. Nie ta, wiedząca już wskutek własnej starości. Ta mafia dożywa swych dni w cichych przytułkach dla starców. Chodzi o nową mafię, gdzie różnica między bossami a wykonawcami poleceń straciła dawną wyrazistość, gdzie zachwiała się wewnętrzna hierarchia, stary rytuał uważa się za bzdurną stratę czasu, a o mafijnej „etyce" po prostu zapomniano w pośpiechu morderstw. Znane są jej związki z ośrodkami władzy politycznej i ekonomicznej, a także sposoby włączania jej nosicieli do ciemnych interesów tych czy innych mafijnych klanów. Zmieniły się charakteryzujące ją do niedawna organizacyjne, psychologiczne i nawet geograficzne cechy. Mafia przestała być zjawiskiem typowym tylko dla zachodnich rejonów Sycylii. Mafia zarzuciła swe sieci na całe Włochy, a głównie na wielkie ośrodki miejskie, w których umiała się zmieszać z masą przesiedleńców z południa. Mafia stała się produktem sycylijskiego eksportu: jej „oś" w dalszym ciągu obraca się w Palermo, ale interesy obejmują cały kraj.

BLYSKAWICZNE KARIERY

Istotnie, śmietankę sycylijskich bandytów zebrała policja i karabinierzy w Mediolanie i na jego przedmieściach, w Rzymie, w Pomecji, Latinie, a wcale nie w Castellammare, Corleone, Lercara, Friddi i innych miasteczkach i osiedlach zachodniej Sycylii. Właśnie w gigantycznie rozrośniętych przedmieściach Mediolanu zrobili błyskawiczną karierę przywódcy nowej mafii, przeskakując od razu kilka szczebli tradycyjnej drabiny hierarchicznej. Za przykład mogą tu posłużyć choćby Gerlando i Giovanni Alberti, stryj i bratanek. Obaj „awansowali" z niższych funkcji mafii, po przejściu z bandy La Barbera do bandy rywali — nieuchwytnych braci Greco, kontrolujących większą część handlu narkotykami w rejonie Morza Śródziemnego. Ci renegaci, nie tracąc czasu, zabrali się energicznie do uśmiercania byłych „przyjaciół" i kumotrów, których szeregi już i tak mocno przetrzebiły serie z broni maszynowej, celne strzały z dubeltówek i akcje administracyjno-policyjne rządu. Później Alberti nawiązali kontakt z mafią neapolitańską. Na Sycylię powrócili tylko dlatego, żeby przeciągnąć na swoją stronę Salvatore i Gaspere Gambino, większych „koncesjonariuszy" w handlu narkotykami, oraz zwerbować niejakiego Giuseppe Livolsi, zawodowego mordercę, znanego z niepohamowanej ambicji i okrucieństwa. Właśnie Gerlando i Giovanni Alberti, jak utrzymują policja i karabinierzy, opracowali plan likwidacji prokuratora Scallone.

Innym typowym przedstawicielem współczesnej mafii jest Natale Rimi. Ten znów zrobił karierę w Rzymie. Usadowiwszy się mocno nad Tybrem, Rimi potrafił nie tylko przeniknąć do aparatu stołecznej administracji, ale, co więcej — wkrótce awansował, obejmując odpowiedzialne stanowisko w komisji do kontroli działalności organów administracji prowincjonalnej. Podobnie syn bossa mafii — Alcamo (zachodnia Sycylia), związany pokrewieństwem z rodziną Corso, która administruje nieruchomością wydalonego z USA gangstera Francka Coppoli (należące doń dobra ziemskie leżą w Pomecji, w rejonie najbardziej intensywnej kontrabandy narkotykami). Alcamo utrzymuje ścisłe i bezpośrednie kontakty z władzami politycznymi. Wszystko wskazuje na to, że policja nie będzie w stanie wyrwać go z ciepłej pościeli w jego wspaniałych apartamentach przy alei Francha. Być może, że jego nazwisko będzie niebawem figurować w spisie członków parlamentu, a być może, iż po prostu znajdzie się on w określonym gronie polityków, których od nieprzewidzianych zdarzeń chroni coś więcej, niż parlamentarna nietykalność.

Niestety, ostatnie aresztowania każą przypuszczać, iż była to raczej kolejna oblawa na „płotki", „wykonawców" niższej rangi, bowiem wśród owych „nowych ludzi" mafii ujętych przez policję, nie ma ani jednego, którego życiorys można by choć w przybliżeniu porównać ze wstrząsającymi biografiami, sporządzonymi przez tzw. „Antymafię" — parlamentarną komisję do badania przestępczej działalności mafii.

POBOJOWISKO NA BULWARZE LACIO

Za początek najbardziej burzliwego i krwawego okresu w historii Palermo, stolicy mafii, należy przyjąć pobojowisko na bulwarze Lacio z grudnia 1969 roku. Wtedy to banda mafiosi, przebranych w uniformy policjantów, wdziera się do biura przedsiębiorcy budowlanego Girolamo Moncado i pozostawia na parkiecie pięć trupów, podziurawionych seriami z broni automatycznej. W spisie podejrzanych pojawia się wówczas na czołowym miejscu Gerlando Alberti, ten sam, któremu obecnie zarzuca się zabójstwo prokuratora Scallone.

Banda La Barbera jest dotąd pozbawiona szefa (jeden z braci został zabity na Sycylii, drugi — raniony i aresztowany w Mediolanie) i nieuchronnie kończy swoją zbrodniczą karierę: kolejni przywódcy i ich namiestnicy padają, jeden po drugim, od kul rywali. Jedyną liczącą się siłą wśród przetrzebionych klanów sycylijskiej mafii pozostaje banda braci Greco, którzy jednak bezustannie kursują w rejonie śródziemnomorskim, spędzając niemal cały czas między Casablancą a Gibraltarem, na szlakach handlu narkotykami. Tylko niezmiernie rzadko ryzykują bracia wypady na rodzinną wyspę. Na Sycylii uważa się ich za „młodą generację gangsterów nowszej formacji".

Odczuwając dramatyzm i niebezpieczeństwo nowej sytuacji, „Antymafia" nawołuje do stanowczości, do energicznego działania. Jednakże policja i karabinierzy ograniczają się do starego arsenału środków: kar pieniężnych, nadzoru, przesiedlania. A czas robi swoje i w tej dziedzinie, i to nie na korzyść policji i karabinierów. Dotyczy to głównie administracyjnego przesiedlania, środka, o który tak energicznie zabiegał żałośnie znakomity prefekt Mori, delegowany przez Mussoliniego do walki z mafią na Sycylii. Obecnie ten archaiczny środek administracyjny ujawnia cały swój bezsens, nawet z czysto technicznego punktu widzenia. Przy pomocy automatycznego międzymiastowego telefonu, mafiosi mogą w każdej dowolnej chwili nawiązać kontakt ze swymi kompanami z dowolnego punktu półwyspu Apenińskiego. Nowy system zamawiania biletów na samoloty, przy pomocy elektronicznych maszyn cyfrowych, pozwala im latać do Palermo i z powrotem, nie zostawiając śladów w spisach pasażerów kompanii lotniczej „Alitalia". Wysiedlony mafiosi musi się tylko pokazać w miejscu zamieszkania sierżantowi karabinierów przed samym odlotem i zaraz po powrocie. Jedyna troska i minimalne ryzyko.

Mafia zmodernizowała swój „styl", jej chwyty i metody nie mają precedensów. Analizując krwawe pasmo przestępstw ostatnich miesięcy, mafiolodzy coraz częściej bezradnie rozkładają ręce, stwierdzając „nietypowość" zbrodniczych akcji, daleko odbiegających od starych „modeli".

16 września 1970 roku znika w Palermo dziennikarz Mauro de Mauro. Wiadomo, że de Mauro na przestrzeni kilku miesięcy skrzętnie zbierał materiały związane z okolicznościami śmierci Enrico Mattei, założyciela i prezesa państwowego trustu naftowo-gazowego (ENI). Mattei aktywnie popierał lewe skrzydło partii chrześcijańsko-demokratycznej i prowadził ostrą walkę z dyktatem międzynarodowego kartelu naftowego. Jesienią 1962 roku, powracając z Sycylii do Mediolanu, Mattei zginął w katastrofie lotniczej, której okoliczności nie zostały wyjaśnione do dnia dzisiejszego. Właśnie tę nić uchwyciła policja, wysuwając hipotezę o związkach porywaczy de Mauro z sycylijskimi organizatorami zamachu na Mattei.

Natomiast karabinierzy wybrali drogę zbadania kanałów handlu narkotykami. Wkrótce też przedstawili prokuraturze dossier, zawierające nazwiska około trzydziestu osób oraz inne dokumenty, wskazujące na ich wzajemne powiązania. Zniknięcie de Mauro kojarzy się z następną zbrodnią, dokonaną w kilka dni po porwaniu dziennikarza. Oto nieznani sprawcy dokonują zamachu na życie właściciela hotelu, Candido Chuni, będącego przypadkowym świadkiem porwania de Mauro. Rannego Chuni przewieziono do szpitala miejskiego. Parę dni później do jego separatki wchodzi czterech mafiosi w białych kitlach i pozostawia na łóżku martwe ciało, naszpikowane ołowiem.

PUNKT ŚMIERCI

W początkach 1971 roku krwawa orgia osiąga apogeum. W marcu znika bez śladu przemysłowiec z Palermo — Antonio Casuro. Nieco później podobny los spotyka Pino Vassallo, syna i spadkobiercę jednego z najbogatszych na Sycylii bossów przemysłu budowlanego, który — jak się o tym powszechnie mówi — zawsze miał niemałe wpływy w kołach tradycyjnej mafii. 6 maja 1971 roku, na krętej via Chipressa, wiodącej do centrum Palermo, z zimną krwią oddane strzały z pistoletu kładą kres życiu Pietro Scallone i życiu jego kierowcy Lo Russo. Dosłownie nazajutrz dowódca karabinierów, pułkownik Della Cresa, znów przedkłada prokuraturze akta dochodzeniowe, tym razem uzupełnione o nowe informacje. Teraz pod tym dokumentem składa również swój podpis naczelnik policji w Palermo, Li Donni.

Tymczasem z kontynentu zjeżdżają władze śledcze (wynik starań „Antymafii", która faktycznie wyraża tym brak zaufania do miejscowych organów ścigania), które permanentnie studiują materiały i prowadzą śledztwo od nowa. Ale mieszkańcy Palermo stają się z dnia na dzień coraz mniej rozmowni, a ich wzrok poraża zadziwiająca krótkowzroczność. Zwracają na to uwagę także policja i karabinierzy. Sięgą więc po delikatny instrument do mierzenia nastrojów społecznych — własnych informatorów. Jednak tym razem dostrzegają w ich szeregach zastraszająco wielkie luki: informatorzy nie czują się już bezpieczni.

Ostatnim z nich był Vincenzo Guercho, właściciel baru w centrum miasta, o dwa kroki od opery i sztabu dowództwa karabinierów. Skuszony wysokością obiecanej nagrody — 20 milionów lirów za wskazanie śladu zabójców Scallone — zdążył widać przekazać karabinierom jakieś istotne informacje, a być może, wskazał nawet ów punkt, w którym nici interesów naftowych krzyżują się z tropami handlarzy narkotykami. Ale nawet zbliżenie się do tego punktu jest związane ze śmiertelnym ryzykiem: Guercho znika w identyczny sposób, jak de Mauro.

I właśnie wtedy pułkownik Della Cresa i naczelnik policji, Li Donni, decydują się na wyciągnięcie praktycznych wniosków ze swego dossier, który już od pięciu miesięcy jest „zamrożony" w safesach prokuratury. Tym razem pasażerski samolot linii „Alitalia" zapełniają bez reszty policjanci i karabinierzy w cywilnych ubraniach. Po dwóch dniach wracają w wagonie expressu „Strzała Południa", konwojując trzydziestu mafiosi, skutych kajdankami. Prokuratura, stojąc już teraz w obliczu faktów dokonanych, jest zmuszona do podpisania nakazów aresztu.

Co dalej?...

Dalszy ciąg ze str. 1

mi, odciążając od nich rodziców. Nauczyciel, mający obowiązek wtłoczenia do głowy dziecku pewnej określonej porcji wiedzy, ma dbać także o nauczanie go dobrych manier, kultury bycia, zachowania. Powinien również wiedzieć, w jakich warunkach żyje dziecko, czy ma miejsce na odrabianie lekcji, czy przyszło do szkoły nie przygotowane, bo jest leniwe, czy też dlatego, że pijany ojciec awanturował się całą noc, czy może jeszcze dlatego, że oglądało całe popołudnie program telewizyjny.

DZIECI CZY RODZICE?

Telewizja ma duży wpływ na kształtowanie umysłowości dzieci. Wzbogaca na przykład zasób ich wiadomości, słownictwo (dziecko z pierwszej klasy wie dziś, co to jest mikroskop), ale nie rozwija umiejętności samodzielnego budowania zdań, formułowania myśli. Telewizja dawkowana właściwie jest pożyteczna. W nadmiarze — wzmaga nerwowość, zakłóca sen. Stwierdzono, że uczniowie klas ósmych spędzają dziennie pięć do ośmiu godzin przed telewizorem. Łatwo obliczyć, ile czasu pozostaje na odrabianie lekcji. W pierwszych i drugich klasach szkoły podstawowej dzieci odgrywają sceny miłosne, oglądane poprzedniego wieczoru na ekranie, tatusia rysują z koltem, w kowbojskim kapeluszu.

W ostatnich latach obserwuje się zmianę typu psychicznego dziecka: większą dojrzałość, samodzielność, większe wyrobienie społeczne, szczególnie u tych, które chodziły do przedszkola. Jeżeli pierwszoklasista ma trudności z liczeniem abstrakcyjnym i nie wie, ile jest pięć plus osiem, to na pewno bezbłędnie odpowie na pytanie, ile jest pięć złotych i osiem złotych.

Powtarzam często: obserwuje się, stwierdzono, zauważono. Piszę tak, bo wszystkie te obserwacje i badania są u nas prowadzone. Dowiedziałam się o tym odwiedziwszy, jedną z pięciu działających w Łodzi, Poradnię Wychowawczo-Zawodową dla dzielnicy Górna, kierowaną przez mgra Jacka Webera, która tymi wszystkimi problemami się zajmuje. Poradnia ta, jak i pozostałe, działająca pod patronatem Kuratorium Okręgu Szkolnego, obchodzi w tym roku dziesięciolecie istnienia. I rozpoczęła drugi dziesiątek w warunkach znacznie lepszych od dotychczasowych, w nowym pomieszczeniu przy ul. Zarzewskiej 62, przystosowanym do spełniania poważnych i ciągle rosnących zadań, jakie na niej spoczywają. Służy ona 38 szkołom (ok. 25 tysięcy dzieci), a zatrudnia 10 pracowników: pedagogów, psychologów oraz lekarza. A więc na jednego pracownika Poradni przypada dwa i pół tysiąca dzieci. Notabene podobna sytuacja jest na Bałutach, a tylko trochę lepsza w pozostałych dzielnicach. W tych warunkach niemożliwe jest, oczywiście, przebadanie wszystkich dzieci, prowadzi się badania kierunkowe. Pod stałą opieką Poradni znajduje się 1000 pacjentów w wieku od 6 do 16 lat. Są to tzw. dzieci problemowe, sprawiające kłopoty wychowawcze, nie robiące właściwych postępów w nauce. Jest ich coraz więcej. To również symptom epoki.

Olbrzymi postęp medycyny pozwolił na znaczne zmniejszenie śmiertelności noworodków. Utrzymywane są dziś przy życiu dzieci, które dawniej byłyby nie do uratowania. W dalszym rozwoju, dopiero w wieku szkolnym, niektóre z tych dzieci ujawniają pewne defekty rozwojowe. Psychologia nazywa je fragmentarycznym opóźnieniem niektórych funkcji. Dzieci te, o normalnym rozwoju i normalnej inteligencji, ujawniają zaburzenia w sferze analizy wzrokowej lub słuchowej (ten typ defektu jest najczęstszy). Mówiąc językiem prostym, dzieci takie na przykład nie odróżniają liter o podobnym kształcie graficznym lub zgłosek o podobnym brzmieniu. Najczęściej są to skutki uszkodzenia centralnego układu nerwowego, możliwe do zredukowania poprzez odpowiednie ćwiczenia. Najważniejsze jest jednak wykrycie tej wady wcześnie, zanim dziecko pójdzie do szkoły i zaczną się pierwsze trudności.

Dlatego tak wielkie znaczenie ma badanie dojrzałości szkolnej u dzieci, które mają rozpocząć naukę. Akcję tę zapoczątkowała Łódź jako pierwsza w kraju przed dziesięciu laty, w niewielkim początkowo zakresie. Dziś badania te prowadzone są w całym kraju, a w Łodzi objęte są nimi wszystkie dzieci w wieku przedszkolnym. Przeprowadzane już w listopadzie, dają dzieciom, odbiegającym od przeciętnej normy, 10-miesięczny prawie okres na odrobienie braków podczas organizowanych dla nich specjalnych zajęć.

W akcji tej, którą nazwać by można walką o równy start, biorą żywy udział pracownicy łódzkich poradni. Opracowali dla nauczycieli zestawy prób i innych badań, współuczestniczą w szkoleniu nauczycieli, uczestniczą w badaniach 6-latków i konsultują sprawy wątpliwe.

Dzięki akcji badania dojrzałości szkolnej, każdy pierwszoklasista, jeszcze przed rozpoczęciem nauki, ma w szkole swoją teczkę z pełną dokumentacją, zawierającą nie tylko wyniki badań, ale również wywiad środowiskowy, dane o warunkach, w jakich żyje i wychowuje się.

Po dziesięciu latach doświadczeń, szkoły — które początkowo traktowały ten dodatkowy trud jako zło konieczne — dziś wysoko cenią akcję badania dojrzałości szkolnej. Wyrównany poziom uczniów ułatwia pracę nauczycielom, wpływa znacznie na zmniejszenie drugoroczności. A z pierwszego spotkania dzieci i rodziców ze szkołą uczyniono niemal święto. W wielu szkołach przygotowuje się na ten okres wystawę ubiorów szkolnych, książek, przyborów uczniowskich, wita dzieci drobnymi upominkami, słodyczami. Wiadomo, że pierwsze wrażenie bywa często wrażeniem najmocniejszym, decydującym później o stosunku do szkoły i nauki.

Takie przygotowanie wszystkich dzieci do nauki zapobiega sytuacji, którą obserwujemy dziś jeszcze w klasach starszych szkół podstawowych, gdzie niekiedy procent drugoroczności jest jeszcze dość znaczny. Trzy lata temu, badając przyczyny złych wyników nauczania w klasie piątej dla uczniów przerośniętych jednej ze szkół w Górnej, psycholog stwierdził, że na 29 uczniów, dwunastu jest upośledzonych. W jaki sposób dotarli oni do klasy piątej nierozpoznani, dlaczego nikogo nie zastanowił fakt, że powtarzają klasy po dwa, trzy razy? Psycholodzy nazywają takie zjawisko zbrodnią pedagogiczną. Bowiem pozostawianie dziecka w warunkach nieodpowiednich, przerastających jego możliwości umysłowe, nie tylko nie sprzyja rozwojowi, ale wręcz go hamuje, pogłębiając upośledzenie. Badanie dojrzałości szkolnej takiej właśnie sytuacji zapobiega.

Poradnia Wychowawczo-Zawodowa prowadzi działalność wielokierunkową, pomaga szkołom w rozwiązywaniu trudnych problemów wychowawczych i poprzez opracowania naukowe i w bezpośredniej, doraźnej interwencji. Udziela porad indywidualnych rodzicom i ich dzieciom, kierowanym tu przez szkołę lub przez nich samych przyprowadzanym. Tych ostatnich jest, niestety, mało. Ludzie o wyższym poziomie kulturalnym wstydzą się tu przyjść, rodzice bardziej prymitywni — lekceważą leczenie dziecka. A Poradnia także leczy. Szeroki jest zakres jej działania. Dla uniknięcia przyszłych pomyłek w wyborze kierunku dalszego kształcenia poradnia prowadzi także preorientację zawodową. Liczą się bowiem potrzeby społeczne, zainteresowania i możliwości dziecka, a nie aspiracje rodziców. Tu, jak w soczewce, skupiają się wszystkie tragedie dzieci „trudnych", „problemowych", upośledzonych. W gruncie rzeczy dzieci zaniedbanych przez rodziców.

Dzieci są nerwowe, bo nerwowi są ich rodzice. Dzieci są źle wychowane, bo nie kulturalni są rodzice. To, niestety, prawda. Można ułatwić sobie życie pralką elektryczną i odkurzaczem. Żadne urządzenie nie załatwi za rodziców wychowania dziecka. Za kłopotami z każdym trudnym dzieckiem kryją się błędy wychowawcze, wywołane brakiem lub nadmiarem źle pojętej miłości rodzicielskiej.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Dalszy ciąg ze str. 1

i wpada zarazem w rozpacz zwątpienia". Równie ciekawy opis muzeum pisarza w Leningradzie, pióra Włodzimierza Tunimanowa, które obejrzymy już za kilka dni. Jutro, środa, dzień wolny. Uroczystości zaczynają się pojutrze — w czwartek.

MOSKWA, 10. XI. 71

Od rana deszcz. A. Rudnicki zostaje w hotelu, ja idę na spotkanie, najpierw z Walerianem Arcimowiczem, potem — z Henrykiem Hofmanem, którego poznałem przed czterema laty. W pewnej chwili Hofman wychodzi do telefonu, a za chwilę jakiś jego syn przynosi z domu najnowszą książkę taty „Czornyj gienieral". Podobno interesująca, o kryminalnej fabule. Nie wiedzieć kiedy zjawia się Ziemowit Fedecki. Krótka rozmowa. Fedecki wraca dziś do Warszawy.

Wieczorem w Teatrze Mossowieta na przedstawieniu „Zbrodni i kary", którą wystawiono pt. „Pieterburskije snowidienia". Rzecz trwa bite cztery godziny. Owszem, dobre, ale momentami nużące. Doskonała rola Porfirego, niezła — Soni, natomiast sam Raskolnikow mniej mi się podobał. Nazbyt patetyczny, jakby powiedział Irzykowski: człowiek z drzwiami na plecach. Wydaje mi się, że powinien być bardziej skupiony wewnętrznie, mniej przeżywający wszystko „na zewnątrz". Po przedstawieniu zaprosił nas na krótką rozmowę inscenizator sztuki — Jurij A. Zawadzki. Był również z nami jeden z delegatów japońskich (jest ich dwóch) — Hiroszi Kimura, mówiący nieźle po rosyjsku. W programie teatralnym przeczytałem tekst wypowiedzi Zawadzkiego, wygłaszanej przez megafon na początku każdego przedstawienia. Oto jej fragment: „Nie zgadzamy się z tymi, którzy uważają Dostojewskiego za piewcę zła, mrocznej beznadziejności i rozpaczy. Nie! Dostojewski to artysta genialny, a jego genialność tkwi w tym, że wierzył w człowieczeństwo, wierzył nie w „boską", lecz w ziemską miłość człowieka, która uchroni świat od zguby". Wysłuchujemy uwag Zawadzkiego o założeniach jego inscenizacji. W „Ukrainie" jesteśmy o północy.

ŚLADAMI DOSTOJEWSKIEGO

MOSKWA, 11. XI. 71

O godzinie 13 w Domu Pisarza powitanie gości, którzy przyjechali na uroczystości Dostojewskiego Zagaja sekretarz Zarządu Związku — Fiodorenko i zapoznaje nas z programem. Każdy z nas otrzymuje plakietkę z wizerunkiem pisarza oraz zaproszenie na dzisiejszą akademię do Teatru Wielkiego. Wśród przybyłych delegatów mój dawny znajomy z Lubljany — dr Bratko Kreft, teatrolog i eseista, znawca twórczości Dostojewskiego. Witamy się serdecznie. Z NRD przyjechał Franz Fühmann. Są pisarze z Czechosłowacji, Bułgarii, Francji, Węgier, Rumunii, Mongolii, Włoch, Wielkiej Brytanii, Kanady i wspomniani już wczoraj Japończycy.

Wieczorną akademię ku czci Dostojewskiego otworzył nestor pisarzy rosyjskich — Konstanty Fiedin. Z tego, co powiedział, utkwiły mi w pamięci następujące słowa: „Twórczość Dostojewskiego mówi nie tylko o wiecznym niepokoju namiętnego artysty, nie tylko o jego proteście, o wyzwaniu rzuconemu okrutnemu światu. Ono wyraża również jego wzburzenie, walkę i cierpienie człowieka, który błądzi, przeciwieństwa, które daremnie rozstrzygać w pojedynkę". Obszerny wykład o twórczości pisarza wygłosił członek Akademii Nauk — Borys Suczkow. Zwrócono mi uwagę, że po raz pierwszy na publicznym zebraniu prelegent dokonał analizy „Biesów", najbardziej, jak wiadomo, kontrowersyjnego utworu Dostojewskiego.

W części drugiej, artystycznej — mogliśmy zobaczyć i usłyszeć udramatyzowane fragmenty „Idioty", „Wsi Stiepańczykowo" i „Białych nocy" w wykonaniu artystów moskiewskich. Wielkie wrażenie robi scena ze „Wsi Stiepańczykowo", w której starego Fomę Fomicza zagrał wręcz kapitalnie A. Gribow. Podczas przerwy byliśmy świadkami niezwykłego widowiska. Przy kioskach z książkami Dostojewskiego w foyer teatru — oblężenie. Jedno ze stoisk runęło pod naporem kupujących. Każdy, kto się docisnął, odchodził uszczęśliwiony z paczką książek pod pachą. Nawet nie próbowaliśmy się pchać — nic by z tego nie wyszło.

Po teatrze kolacja z Japończykami w restauracji hotelu „Ukraina". Obaj bardzo sympatyczni, z dużym poczuciem humoru. Przed snem przeglądanie prasy. We wszystkich gazetach dzisiejszych artykuły o Dostojewskim, który równo 150 lat temu, 11 listopada 1821 roku, przyszedł na świat w rodzinie moskiewskiego lekarza.

MOSKWA, 12. XI. 71

Wizyta w oficynie wydawniczej „Chudożestwiennaja Litieratura". Naczelny redaktor opowiada historię powstania wydawnictwa, jego charakter i program działania, po czym oprowadza nas po działach. Zwraca uwagę małe muzeum, w którym zgromadzono egzemplarze wydanych dotychczas książek, portrety pisarzy, listy itp. oraz archiwum, gdzie każdy pisarz posiada kartotekę, a w niej wszelkie dane: kiedy, gdzie i ile razy wydano jego poszczególne pozycje, a także, w jakich drukowano je pismach. Na zakończenie każdy z nas otrzymał dwutomowe wydanie „Idioty" Dostojewskiego z pięknymi ilustracjami.

Po południu zwiedzanie muzeum pisarza w domu, w którym się urodził i mieszkał wraz z rodzicami do 16 roku swego życia. Wśród eksponatów najcenniejsze fotokopie rękopisów „Młodzika", „Zbrodni i kary", „Wspomnień z domu umarłych" i „Biesów" (te ostatnie z niezliczoną ilością przekreśleń i poprawek), zeszyty z notatkami pomysłów literackich, rysuneczki, które Dostojewski zwykł był robić, portrety pisarza, pędzla znanych artystów, m. in. portret Pierowa z 1872 roku. Jest to najbardziej znany i chyba najciekawszy z portretów Dostojewskiego z owym charakterystycznym zaplecieniem rąk na kolanach. Wśród zdjęć i fotografii ruletka w Baden pod Wiedniem i dom w Dreźnie, w którym pisarz mieszkał w 1869 roku. W specjalnej szafie przekłady dzieł Dostojew-

Dalszy ciąg na str. 4

JÓZEF PENC

W poszukiwaniu wolnego czasu

Jednym z ważnych problemów, jaki wyłania się w związku z przewidywanym skróceniem czasu pracy jest niewątpliwie problem czasu wolnego. We współczesnych warunkach sfera tego czasu staje się tak samo istotna jak sfera samej pracy. Stwierdzany powszechnie niedobór wolnego czasu wielu grup osób czynnych zawodowo, przy jednoczesnym niedorozwoju różnych jego elementów, stanowi — obok czynnika materialnego — podstawową przeszkodę w realizacji odczuwanych przez wielu ludzi różnych potrzeb i aspiracji życiowych, powoduje szereg zakłóceń i hamuje w określonym stopniu rozwój gospodarczy. Czas wolny jest bowiem oczywistym warunkiem tych wszystkich walorów człowieka (jak np. wiedzy, ogólnej kultury, sprawności psychofizycznej itp), bez których stosowanie nawet najdoskonalszej techniki i najbardziej postępowej technologii i organizacji nie może być w pełni efektywne. Stanowi on — jak to podkreślił K. Marks — przestrzeń dla rozwoju sił produkcyjnych każdego człowieka i społeczeństwa, sił, których pełne zastosowanie staje się elementarnym warunkiem nowoczesnej produkcji.

Ten właśnie niedobór wolnego czasu, wobec stałego wzrostu poziomu życia, obfitości materialnych dóbr, upowszechnienia kultury, różnych form rozrywek, turystyki, sportu itp., z drugiej zaś strony — wobec rosnących wymagań, jakie stawia człowiekowi współczesny postęp techniczny, czyni wzrost jego zasobów coraz bardziej narastającą potrzebą społeczną.

Współczesne społeczeństwa przemysłowe w coraz większym stopniu rozpatrują ten czas w kategoriach takiej właśnie potrzeby i podejmują wiele działań, zmierzających do powiększenia jego rzeczywistych rozmiarów i jednocześnie do organizowania go w taki sposób, aby jego wykorzystanie przez poszczególne jednostki było zgodne z uznanym przez dane społeczeństwo systemem wartości.

Problem ten narasta i u nas w miarę jak ze społeczeństwa uprzemysławiającego się stajemy się społeczeństwem przemysłowym. Ten stan rzeczy inspiruje naszą politykę gospodarczą do podejmowania niezbędnych działań w tym zakresie.

Jednym z takich przedsięwzięć jest zapowiedziane skrócenie czasu pracy, którego realizacja — jak to podkreślają Wytyczne na zjazd — „urasta stopniowo w naszym kraju do rangi ważnej potrzeby społecznej".

W odczuciu społecznym reforma ta ma przynieść znaczne zwiększenie wolnego czasu. Taka jest również intencja władz, które podjęły tę decyzję, by sprawie korzystania z dorobku społeczeństwa w zakresie kultury, sztuki, organizacji wypoczynku itp., stworzyć szersze możliwości.

Doceniając niewątpliwe znaczenie skracania czasu pracy dla tego celu należy jednak przestrzec przed zbytnim optymizmem, co więcej należy podkreślić, iż — pominąwszy nawet jego wysokie koszty — w obecnych warunkach niedorozwoju naszej infrastruktury nie może i nie powinno być ono uznane za główny sposób osiągania rzeczywistego zwiększenia rozmiarów wolnego czasu.

Zmiana struktury istniejącego czasu poza pracą w kierunku zredukowania wielu jego zbędnych nakładów (związanych ponadto z dużym wysiłkiem i zmęczeniem), zwłaszcza związanych z prowadzeniem gospodarstwa domowego, komunikacją, zakupami itp., kryje w sobie z tego punktu widzenia znacznie większe możliwości.

Skrócenie czasu pracy pozwoli zwiększyć czas wolny zaledwie o kilka godzin tygodniowo, w najlepszym zaś razie o godzinę lub dwie dziennie. Poza tym jest to jeszcze kwestia przyszłości. Tymczasem 2—3-krotne zmniejszenie nakładów czasu na komunikację, gospodarstwo domowe itp., pochłaniające od 4 do 6 a nawet więcej gogodzi dziennie pozwoliłoby już obecnie, przy aktualnym wymiarze czasu roboczego, uzyskać od 2 do 4 godzin wolnego czasu dziennie.

Bezsprzecznie, w dążeniu do zwiększenia czasu wolnego niemałą rolę mogłoby odegrać wprowadzenie 5-dniowego tygodnia pracy, a to ze względu na funkcje 2 dni wolnych, ale znaczenia takiego rozwiązania nie należy tutaj absolutyzować, w każdym razie nie przy obecnym stanie rozwoju infrastruktury. Skracanie czasu pracy jawi się jako alternatywa usług, a ta sfera — jak wiadomo — stanowi u nas „wąskie gardło". Toteż w takiej sytuacji zwolniony, w wyniku skrócenia ustawowego czasu pracy, czas zostałby pochłonięty być może bez reszty przez różne czasochłonne czynności poza pracą. Tak np. stało się w Związku Radzieckim, gdzie — jak podaje socjolog G. Prudienski — większa część czasu uzyskanego w drodze skrócenia czasu pracy nie stała się wbrew oczekiwaniom czasem wolnym, gdyż pochłonęły go różne potrzeby bytowe. Zjawisko to wystąpiło zwłaszcza wśród pracujących kobiet.

Tak więc, bez odpowiednio wydatnego przyspieszenia rozwoju usług, trudno będzie mówić o osiągnięciu poważniejszych zmian na korzyść czasu wolnego, mimo nawet znacznego skrócenia ustawowego czasu pracy. Bo, jeżeli nawet uzyska się w drodze tego skrócenia więcej czasu poza pracą, to i tak brak odpowiednich warunków obiektywnych dla zaspokojenia potrzeb wolnoczasowych (być może jeszcze bardziej w wyniku tego rozbudzonych), może — przy obecnie stosunkowo jeszcze niskiej kulturze czasu wolnego, cechującej wiele grup społecznych i środowisk — całkowicie przekreślić społeczno-ekonomiczny efekt całej operacji skrócenia czasu pracy. Wzrost zasobów wolnego czasu staje się bowiem dobrodziejstwem wówczas, jeśli istnieją obiektywne i subiektywne warunki (tj. możność i umiejętność) jego pożytecznego wykorzystania.

Wobec takiej alternatywy, oczywisty staje się postulat, iż w dążeniu do zwiększenia czasu wolnego głównego akcentu nie należy kłaść na czas pracy, jakkolwiek jego skrócenie stanowi w tym zakresie istotny instrument, lecz na czas poza pracą, na te wszystkie jego elementy, które zabierają ludziom mnóstwo czasu i wysiłku a w zamian dają im niewiele, lub wcale, z punktu widzenia rozwoju ich osobowości. Idzie bowiem przecież tutaj nie tyle o to jak zmniejszyć czas pracy, ile o to, jak zwiększyć czas wolny.

Formułując problem jak najogólniej, należy zatem podkreślić, iż **w dążeniu do zwiększenia czasu wolnego ofensywa winna być prowadzona równolegle: poprzez stopniowe skracanie czasu pracy** (w przypadku Łodzi w wyniku likwidowania kolejnych zmian roboczych w sobotę) **i poprzez polepszenie struktury czasu poza pracą, w drodze doskonalenia systemu instytucji socjalno-komunalnych, handlowych, rozwoju usług, poprawy warunków mieszkaniowych itp.** Uwzględnienie tego postulatu jest konieczne, by uniknąć niebezpieczeństwa tej reformy — niebezpieczeństwa polegającego na tym, że skrócenie czasu pracy, zamiast zwiększyć zasoby wolnego czasu i przyczynić się do polepszenia sposobów jego spędzania, mogłoby doprowadzić do wzrostu zainteresowania pracą dodatkową z jednej strony, a z drugiej strony — do wypełniania czasu wolnego niepożądaną społecznie treścią.

Racjonalne przeprowadzenie reformy czasu pracy wymaga szerokich i kompleksowych badań, dokładnego przemyślenia różnych alternatyw a nawet ich eksperymentalnego sprawdzenia, wyciągnięcia wszystkich wniosków z doświadczeń innych krajów. Reforma ta nie może być uznana za szeroko zakrojoną operację o charakterze organizacyjnym, ani też socjalnym. Musi ona nosić wszelkie cechy reformy makroekonomicznej o rozległych konsekwencjach społecznych i kulturalnych. Musi być zatem przeprowadzona kompleksowo, na wielu płaszczyznach, w powiązaniu z różnymi problemami w sferze mechanizacji produkcji, inwestycji, organizacji pracy, zatrudnienia, norm pracy, racjonalnej organizacji dnia i tygodnia roboczego itp. Jest oczywiste, że w gospodarce socjalistycznej inne ujęcie tego zagadnienia jest niesłuszne i nie powinno być brane w rachubę. Z istoty samego ustroju wynika bowiem, iż skracanie czasu pracy winno stać się elementem ogólnopaństwowego planowania, w ramach którego ustala się wielkość czasu pracy i czasu wolnego. Dziedzina planowania jest działalnością, w której gospodarka socjalistyczna ma bogate doświadczenia, toteż istnieje pełna możliwość zrealizowania reformy najniższym kosztem społecznym. Osiągnięcie jednak tego celu wymaga gruntownego przygotowania warunków i to nie tylko w sferze produkcji, a więc realizacji zadań produkcyjnych w krótszym czasie, ale także szerokiego zaplecza socjalno-bytowego i kulturalnego, czyli w konsekwencji — warunków racjonalnego spożytkowania przez społeczeństwo zwiększonych tą drogą zasobów wolnego czasu.

TRZEJ ŁODZIANIE WŚRÓD LAUREATÓW TEGOROCZNEJ NAGRODY IM. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

Wśród laureatów tegorocznej nagrody im. Wł. Pietrzaka znaleźli się trzej łodzianie: **Maciej Józef Kononowicz** — nagroda literacka — za twórczość poetycką i prozatorską, **prof. dr Zygmunt Latoszewski** — nagroda artystyczna — za wybitną działalność artystyczną i organizacyjną w zakresie krzewienia w Polsce kultury muzycznej, oraz **Andrzej Polkowski** nagroda młodych — za problematykę filozoficzną i literacką.

Warto przypomnieć, że w latach ubiegłych (nagroda jest przyznawana już po raz XXIV) z łodzian nagrodzeni już byli: **prof. dr Stefania Skwarczyńska, prof. dr Irena Dorabialska** i **prof. dr Witold Ostrowski.** Laureatom życzymy dalszych osiągnięć w pracy twórczej.

Dalszy ciąg ze str. 3

skiego na języki obce. Diabli mnie biorą, bo nie ma tu ani jednego przekładu polskiego. Ech, ta nasza propaganda.

O godzinie 16 wspólny obiad w Domu Pisarza. Siedziałem naprzeciwko Maurice'a Druon, który do złudzenia przypomina Willy Brandta. W obiedzie wziął udział Konstanty Fiedin, ale nie przemawiał. Gości powitał Georgij Markow — prozaik i sekretarz generalny Związku Pisarzy Radzieckich. Wszyscy byli w ciemnych ubraniach i pod krawatami, jedynie A. Rudnicki przyszedł w niebieskim swetrze z wyłożonym na nim kołnierzem koszuli i w sztruksowych spodniach. Tyz piknie.

Po obiedzie spacer po księgarniach. Udało mi się kupić opasły tom „Nieizdannyj Dostojewskij" z nieopublikowanymi dotychczas zapiskami pisarza z ostatnich dwudziestu lat jego życia. Księga opracowana niezwykle starannie, z dużą ilością fotografii, reprodukcji rękopisów, listów, okładek czasopism, itp. Przeglądałem ją i czytałem do późna w noc.

MOSKWA, 13. XI. 71

Obudziłem się rano z piekącym bólem w śródpiersiu. Przeraziłem się okropnie. Po paru minutach ból minął, ale do południa pozostałem w łóżku. Na obiad zszedłem do restauracji hotelowej, gdzie spotkałem sławistę z Lipska, który świetnie mówi po rosyjsku. Rozmawialiśmy na przemian to po rosyjsku, to po niemiecku. Dr Wolf Düwel podarował mi swoją książkę o Dostojewskim z piękną dedykacją.

Większość delegatów udała się w podróż do Rygi. Rudnicki, dr Düwel, ja i jeszcze paru pozostaliśmy w Moskwie, aż do czasu wyjazdu do Leningradu, gdzie znowu spotkamy się z naszymi kolegami, przybywającymi ze stolicy Łotwy. Żartujemy między sobą z powodu tego wyjazdu części uczestników do Rygi: „Należy również obejrzeć jakieś miasto, w którym Dostojewski nigdy nie był". Daliśmy się namówić z A. Rudnickim na „Potęgę ciemnoty" Lwa Tołstoja w Małym Akademickim Teatrze. Jak zwykle i tym razem przedstawienie trwało długo: od 19 do 23. Zmęczyłem się, ale nie żałowałem. Znakomici aktorzy, zwłaszcza Iljiński w roli starego Akima, ojca Nikity. Inscenizacja w konwencji naturalistycznej w swoim najdoskonalszym wcieleniu. Gdy odsłoniła się kurtyna, widzowie bili brawo na widok nieba, obłoków, domków i prawdziwej słomy. Po skończeniu przedstawienia ludzie długo nie opuszczali widowni, zmuszając aktorów do licznych wyjść na proscenium.

ŚLADAMI DOSTOJEWSKIEGO

MOSKWA, 14. XI. 71

Niedziela. Chodzimy po Moskwie. Słonecznie, ale zimno. Śnieg, dziesięć stopni mrozu. Od obiadu leżę w łóżku i czytam „Wospominania" żony Dostojewskiego, Anny Grigoriewny. Wieczorem wyjazd do Leningradu.

LENINGRAD, 15. XI. 71

Mieszkamy w hotelu „Leningradskaja" nad samą Newą. Z okna mojego pokoju na trzecim piętrze widok na rzekę, na „Aurorę", na szkołę kadetów morskich im. Nachimowa i na rząd kamienic na przeciwległym brzegu. W pokoju chłodno, choć na dworze zaledwie dwa stopnie mrozu. Śnieg na ulicach. Hotel nowoczesny, oddany do użytku dopiero przed rokiem. Nie przypomina w niczym moskiewskich hoteli — wieżowców, imponujących, nie zawsze jednak funkcjonalnych.

Spotkanie w siedzibie Związku Pisarzy. Otrzymaliśmy znaczki z wizerunkiem Dostojewskiego, które wpinamy sobie w klapy marynarek oraz książeczki Rejnusa „Dostojewskij w Staroj Russie" o pobycie pisarza w letniskowej miejscowości. W salach Związku Literatów mała wystawa, poświęcona Dostojewskiemu. Zdumiewająco świetnie zachowały się fotografie pisarza. W salce kinowej gospodarze pokazują nam filmowe fragmenty „Idioty" ze Smoktunowskim w roli księcia Myszkina. Przed laty widziałem „Idiotę" na scenie teatru leningradzkiego z tym samym aktorem w roli głównej. Nie można sobie wymarzyć lepszego odtwórcy tej roli. Smoktunowski gra oszczędnie, prawie bez gestu, z niezwykłym wprost skupieniem wewnętrznym. Żałujemy, że pokazano nam tylko fragmenty, chętnie obejrzelibyśmy cały film, choćby nawet trwał trzy godziny.

Po projekcji przejażdżka autokarem po mieście. Przysiadł się do mnie John Robert Colombo — poeta z Kanady. Rozmawiamy po angielsku. Idzie mi ciężko, ale idzie. Z poezji polskiej Colombo zna tylko jedno nazwisko, za to przednie — Cypriana Kamila Norwida. W hotelu Kanadyjczyk wręcza mi swój tom „The Mackenzie Poems" z dedykacją. Spróbuję przełożyć fragmenty tego poematu, bo wydaje się, że warto.

LENINGRAD, 16. XI. 71

Do południa zwiedzanie Ermitażu. Podzieliliśmy się na dwie grupy: tych, którzy są tu po raz pierwszy i tych, którzy Ermitaż już widzieli. Należę do tej dru-

TADEUSZ GICGIER

ZAPROSZENIE DO SUPRAŚLA

Cała ta historia pozostała owiana „mgłą tajemnicy". Przed kilku laty, do firmy amerykańskiej, która prowadziła handel z Polską, zgłosił się pewien nieznany osobnik. Przedstawił ofertę odstąpienia za określoną sumę dolarów „Kodeksu Supraskiego", który znajdował się w jego posiadaniu. Przekazanie „Kodeksu" odbyło się również w tajemniczych okolicznościach. Osobnikowi wręczono w pewnym kościele walizkę z dolarami, ten zaś wręczył przedstawicielowi wspomnianej firmy walizkę z „Kodeksem Supraskim". Jak można się domyśleć, „koszty transakcji" pokryła polska ambasada w Stanach Zjednoczonych, która też w końcu przejęła niezwykłą walizkę. W ten sposób „Kodeks Supraski" wrócił do Muzeum Narodowego w Warszawie.

Jak „Kodeks", a właściwie jego część, wywędrowała ze stolicy? Można tu też snuć tylko przypuszczenia, że podzieliła ona los innych cennych zabytków naszej kultury w latach ostatniej wojny, które trafiły za Ocean. Ten zabytek należał do najcenniejszych. Pochodzi on z wieku XI-go i zawiera spisane w języku starocerkiewnosłowiańskim tzw. homilia, czyli kazania oraz żywoty świętych. Spośród kilku ocalałych tego rodzaju zabytków piśmiennictwa w Europie, ten jest najobszerniejszy i ma wartość wręcz unikalną.

— Ciekawa jest również historia odnalezienia zabytku w samym Supraślu — mówi pan Henryk Ołdytowski, przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Supraśla. — Wiąże to się z procesem Filomatów i Filaretów, w który wmieszany był między innymi profesor Michał Bobrowski, wykładowca Uniwersytetu Wileńskiego, a zarazem kanonik wileński. Pozbawiony katedry, przybył do Bazylianów w Supraślu — i tu w roku 1823, na trzynaście lat przed kasacją klasztoru, odnalazł w starych zbiorach bezcenny zabytek. Właśnie od tego momentu Kodeks przekazany wydawcom i opublikowany w Petersburgu, w Zagrzebiu i w Warszawie, otrzymał nazwę „Supraskiego". Bo niektórzy sądzą, że został on w XI-tym wieku napisany w Supraślu. Supraśl wtedy nie istniał, a i Bazylianów tu jeszcze nie było.

* * *

Końcowy przystanek autobusowy w Supraślu znajduje się w rynku, a więc w centrum miasta. Szczególne to centrum, bo położone na krańcach Supraśla, nieopodal doliny, którą płynie rzeka. Naprzeciw przystanku dawny pałac Bucholców, obecnie siedziba Liceum Sztuk Plastycznych. Kolumny, wieżyczki, antyczne rzeźby, portale. Po lewej stronie budowli, na ściętej płasko wieży, gniazdo bocianie. Rodzina czarno-białych ptaków sprawia w tym otoczeniu wrażenie sztucznej dekoracji. Za pałacem na wzgórzu prześwitują przez gęstą zieleń czerwone gonty dawnego klasztoru Bazylianów. Na prawo budynki fabryki mebli, na wprost ulica 1 Maja, przy której stoi kilka starych, bielonych, drewnianych domów tkaczy. Te domy, dziś obiekty zabytkowe, budowane były tak, jak łódzkie siedziby rękodzielników — są tylko od nich starsze. Oko przyciągają jednak bardziej rozległe wzgórza pokryte lasami i łąki w dolinie, przez które wije się meandrami rzeka — kręta niebieska wstążka rzucona niedbale na zieleń traw i sitowia.

Witold Ołdytowski, wuj pana Henryka Ołdytowskiego, jest starym tkaczem, który przybył z Białegostoku do Supraśla w poszukiwaniu pracy. Trudno ustalić, kto od kogo przejął w rodzinie zamiłowania historyczne. W każdym razie pan Witold opowiada z dużą swobodą o początkach przemysłu włókienniczego w Supraślu.

— Było to po powstaniu listopadowym, kiedy to rząd carski, chcąc ukarać Polaków za powstanie, wprowadził granicę celną między Królestwem Polskim a Rosją. Wtedy sprytni przemysłowcy Łodzi i jej okolic pomyśleli o innym rozwiązaniu: przeniesieniu zakładów na Białostocczyznę, gdzie otwierały się nieskrępowane rynki zbytu. Pierwszym fabrykantem był właśnie Wilhelm Zachert, który osiedlił się w Supraślu. Na jego decyzję wpłynęła na pewno, poza ominięciem granicy celnej, niska cena dzierżawy, tania siła robocza (Supraśl liczył wtedy ponad 3 tysiące mieszkańców), a także energia wodna, którą zapewniała rzeka.

Drugim fabrykantem w Supraślu był Bucholc, także przybysz ze Zgierza. Była tu nawet dawniej ulica Zgierska — obecna Waryńskiego. Swoją fabrykę pobudował on za rzeką, oprócz tego miał lasy i majątek ziemski. Równolegle, a może trochę wcześniej, przybyli tu rękodzielnicy, budowali z taniego surowca, bali drzewnych, swoje parterowe domy i sprowadzali warsztaty tkackie.

Między tymi dwoma fabrykantami, którzy konkurowali ze sobą, były jednak i pewne różnice. Bucholc trwał dłużej na „przemysłowym stanowisku", nie dawał się, szedł z duchem czasu, modernizował swoje zakłady, sprowadzał nowe maszyny z Anglii i Holandii. W okresie kryzysów, kiedy groziła mu zagłada, uratował go ożenek z łódzką Scheiblerówną, a córkę wydał potem za Geyera.

Supraśl. Liceum Sztuk Plastycznych

Jaki był stosunek supraskich fabrykantów do robotników? Niewiele wiemy na ten temat, faktem jest jednak, że w okresie wzmożonego wyzysku w początkach XX wieku dochodziło w Supraślu do strajków, rozruchów i demonstracji, czego dowodzą protokóły policji carskiej z Wasilkowa. Działała tu komórka SDKPiL, protokóły odnotowują nazwiska jej członków: Wołkowskiego, Szczęsnowicza, Bogdanowicza. Ci dwaj ostatni jeszcze żyją. Zesłani po roku 1905 na Syberię, wrócili do Supraśla dopiero przed pierwszą wojną światową.

Zachertowie odegrali jednak i inną rolę w Supraślu. Może chcieli się zrehabilitować za współpracę z władzami carskimi, w każdym razie wkrótce po wydarzeniach 1905 roku, gdy jeszcze mało było szkół na Białostocczyźnie, baronowa Zachert założyła prywatną szkołę z polskim językiem nauczania. Rzecz charakterystyczna: szkoła rosyjska mieściła się w starym, drewnianym budynku, a polska w nowo wzniesionym, murowanym. Baronowej udało się to chyba przeprowadzić dzięki dobrym stosunkom z gubernatorem w Grodnie. Zachowały się z tych czasów dokumenty, zdjęcia, świadectwa szkolne, żyją jeszcze uczniowie, którzy uczęszczali do tej szkoły. Choć była to tylko szkoła dwuklasowa, stanowiła ona rzadkość na tych ziemiach. Przygotowała dla czasów późniejszych ludzi, którzy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości dokształcili się i mogli podjąć nauczanie na terenie najbardziej zaniedbanych powiatów, jak powiat sokólski czy inne okoliczne. Tak było na przykład z panią Stanisławą Reśko, moją nauczycielką i wychowawczynią z lat międzywojennych — kończy pan Henryk.

Po drugiej wojnie Supraśl znów ożywia się pod względem przemysłowym. Powstaje tu Fabryka Przemysłu Terenowego, Tartak Przemysłu Leśnego. W sukurs przychodzi im Państwowa Dwuletnia Szkoła Ogrodnicza, wspomniane już Liceum Sztuk Plastycznych, a także Technikum Mechanizacji Rolnictwa, które mieści się w budynkach poklasztornego zespołu.

* * *

Drugim wydarzeniem na skalę krajową, wkrótce po odnalezieniu w Stanach Zjednoczonych „Kodeksu Supraskiego", stały się freski z Supraśla. W roku 1557 wnętrze świątyni ozdobiono freskami w stylu bizantyńskim, przedstawiającymi postaci świętych i męczenników. Kronika Ławry Supraślskiej uwieczniła nazwisko autora malowideł. Był nim mnich pochodzenia serbskiego — „Serbin Nektarij malar." Stworzył on dzieło, które należy dziś do bardzo rzadkich w Polsce przykładów malowideł ściennych o tradycji bizantyńskiej. Każdy przystaje na chwilę u wejścia, urzeczony ich widokiem. Na stonowanym, niebiesko-szarym tle rysują się smukłe, natchnione postaci bizantyńskich świętych, uformowane z jasnych barw, wśród których przeważa różowa i złocisto-żółta. Na pierwszy rzut oka widać, że mamy do czynienia z wysokiej klasy dziełem sztuki".

* * *

Owe tradycje plastyczne kontynuuje dziś na szeroką skalę, choć z innym zgoła przeznaczeniem, miejscowe Liceum Sztuk Plastycznych. Jak już wspomniałem, mieści się ono w dawnym pałacu Bucholców, który został uznany za obiekt zabytkowy.

Szkoła kształci w dwóch kierunkach czy raczej specjalizacjach. Są to — specjalizacja tkacka i powstała przed czterema laty specjalizacja pamiątkarska. Uczniowie po ukończeniu liceum otrzymują świadectwo dojrzałości, które uprawnia ich do podjęcia pracy w określonej specjalizacji. Najczęściej idą do zakładów produkcyjnych, nawet zakładów typu kluczowego, do spółdzielczości, a także do rzemiosła. Zyskują przy tym uprawnienia na wszystkie rodzaje studiów wyższych, mamy więc absolwentów na matematyce, na języku polskim, a nawet na filologii romańskiej. Za przykład może posłużyć absolwentka naszej szkoły, która ukończyła filologię polską i wróciła do liceum jako nauczycielka języka polskiego.

Nasza młodzież to w większości dziewczęta. Wiadomo, że to podstawowa kadra włókiennicza, bardziej dokładna i precyzyjna w tej pracy od chłopców. Przychodzą do nas w większości z naszego województwa, ale mamy też uczniów z warszawskiego, olsztyńskiego, wrocławskiego, bydgoskiego. Zdają na dwie specjalizacje, a przyjęci zostają na tę, w której zakresie wykazali większe umiejętności. Niezależnie od tego zdają z przedmiotów ogólnokształcących.

Jeśli idzie o specjalizację tkacką, jej powołanie było podyktowane rozwojem tej gałęzi przemysłu w regionie białostockim. Licea z tą specjalizacją istnieją w Kielcach, Wiśniczu, Tarnowie i Bielsku Białej. Natomiast za-

Dalszy ciąg na str. 8

giej grupy, przed laty spędziłem tutaj wiele godzin na oglądaniu obfitych i bezcennych zbiorów. Teraz interesują mnie przede wszystkim sale z Rembrandtem. Jeszcze raz przyglądam się jego znanym płótnom: „Powrót syna marnotrawnego", „Danae", „Ofiara Izaaka". Dla porównania obejrzałem sobie również „Danae" Tycjana, a także jego „Marię Magdalenę" i „Św. Sebastiana". Ponadto: „Porwanie Europy" Berghema i „Porwanie Sabinek" Tiepola.

Po Ermitażu rzecz chyba najważniejsza: oglądanie miejsc związanych z Dostojewskim i bohaterami jego książek. Zaczynamy od wojskowej szkoły inżynierskiej w dawnym zamku Michajłowskim, w której Dostojewski spędził pięć lat (1838—1843) i ukończył ją w stopniu porucznika. Potem jedziemy na cmentarz Tichwiński, aby złożyć wieniec na mogile pod pomnikiem pisarza, zaprojektowanym przez Ławereckiego w 1883 roku. Śnieżna zadymka, wieje mroźny, porywisty wiatr, ale trudno nam jakoś stąd odejść. Na domu przy Władimirskim Prospekcie pod nr 11 tablica oznajmiająca, że tu mieszkał Dostojewski i napisał „Biednych ludzi". Z mieszkania przy ul. Woznieisienskiej 8 (dziś Prospekt Majorowa), gdzie Dostojewski napisał „Białe noce", z 22 na 23 kwietnia 1849 roku zaaresztowano go i skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Jedziemy na Siemionowskij Plac — dziś ogród, a za czasów carskich miejsce egzekucji. Tutaj, w ostatniej chwili, gdy już Dostojewski żegnał się z towarzyszami, gotowy na śmierć, przyszło ułaskawienie i zamiana kary śmierci na katorgę. Oglądamy Sienny Rynek, opisany w „Zbrodni i karze", dom przy ul. Kaznaczejskiej 7, w którym w ciągu 26 dni Dostojewski napisał „Gracza". Zatrzymujemy się na ulicy Grochowej, przy której mieszkał Rogożyn, i po której chętnie przechadzał się Diewuszkin z „Biednych ludzi". Długo przyglądamy się schodom, po których skradał się Raskolnikow, aby zamordować Staruchę. Stoimy nad Fontanką, gdzie siadywały handlarki, na mostach, kędy spacerowali opisani przez Dostojewskiego bohaterowie. To tzw. biedna część dawnego Petersburga, miejsce akcji większości utworów pisarza, w odróżnieniu od Petersburga zamożnego („paradnego", jak mówią Rosjanie).

Przewodnik zwraca naszą uwagę na dom przy Newskim Prospekcie 8, mieszkał w nim Wissarion Bieliński. On i Niekrasow pierwsi poznali się na talencie Dostojewskiego i wysoko ocenili jego „Biednych ludzi". (Później zresztą rozeszły się ich drogi, gdyż Dostojewski nie mógł pogodzić się z ateizmem Bielińskiego). Na zakończenie oględziny twierdzy piotropawłowskiej, gdzie więziono Dostojewskiego. Ale cela, w której siedział, już nie istnieje. Zachowała się natomiast cela Ludwika Waryńskiego (siedział w niej w lutym 1886 roku). Do domu, w którym Dostojewski spędził ostatnie lata swego życia (1878—1881) i gdzie obecnie znajduje się muzeum jego imienia, pójdziemy jutro. Mamy się tam spotkać z prof. Bursowem, wybitnym znawcą twórczości pisarza.

LENINGRAD, 17.XI.71.

Rano wycieczka do Carskiego Sioła, gdzie uczył się Puszkin. Pada śnieg i jest bardzo zimno. Jak zwykle w muzeach pisarzy najciekawsze są rękopisy. Długo przyglądam się rękopisom Puszkina. Na kartach z zapisanymi wierszami widnieją rysuneczki, przede wszystkim głowy ludzkie, ale także pejzaże lub konie, które Puszkin lubił szkicować w trakcie tworzenia. Wśród fotografii portreciki braci Sobańskich, z którymi Puszkin spotkał się po upadku powstania listopadowego. Niestety, nie ma w muzeum portretu Mickiewicza (a powinien być).

Po powrocie do Leningradu wyprawa do muzeum Dostojewskiego przy Kuznicznym Piereułku, gdzie pisarz napisał ostatnie swoje dzieło, „Braci Karamazow" i gdzie zmarł. Duże biurko, na nim obsadka, która przeszła do historii literatury. W czasie pisania obsadka upadła Dostojewskiemu na podłogę, gdy pisarz schylił się, aby ją podnieść, upadł i dostał krwotoku, który spowodował śmierć. W odrestaurowanych izbach, pachnących drzewem i farbą, mebli niewiele (prawie nic nie zachowało się z urządzeń Dostojewskiego), natomiast sporo rękopisów, fotografii, zdjęć i rysunków starego Petersburga, portrety Dostojewskiego. W jednej z gablot fragment listu Turgieniewa do Milukowa z 3 grudnia 1870 roku: „Dostojewski pozwolił sobie na coś gorszego, niż parodia; przedstawił mnie pod nazwiskiem Karmazinowa, jako skrytego sympatyka nieczajewców".

Na półce przekładów Dostojewskiego na języki obce brak, podobnie jak w Moskwie, rzeczy polskich. Po prostu skandal. Tym większy, że Polska zarówno jeśli chodzi o tłumaczenia jak i literaturę o autorze „Idioty" nie stoi na ostatnim miejscu. Prof. Bursow prosi mnie, abym spowodował przesłanie polskich tłumaczeń dzieł Dostojewskiego, którymi pragną ozdobić swoją wystawę.

LENINGRAD, 18.XI.71.

Ostatni dzień w Leningradzie. Wszystko, co było godne widzenia, obejrzeliśmy. Teraz chodzimy po księgarniach i szukamy książek o Dostojewskim. W księgarni literackiej przy Newskim Prospekcie zdobyłem aż trzy rzeczy: „Dostojewskij w Pieterburgie", powieść o młodości pisarza „Doroga iskanij" oraz „Dostojewskij w processie Pieraszewcew". Sprzedawczyni, dowiedziawszy się, że jestem polskim pisarzem, wyjęła te książki z odłożonych zapasów. Tu wszystko, co dotyczy Dostojewskiego, znika natychmiast z półek.

Po powrocie do hotelu mam dużo czasu, aby uporządkować wrażenia i porozmawiać nareszcie z Janem Skamią z Bratysławy, poetą, redaktorem naczelnym Slovénskych pohladów", z Rumunem Nicolae Balota, z Sante Graciottim z Mediolanu, który świetnie mówi po polsku (studiował polonistykę), z poetą i tłumaczem leningradzkim, Igorem Iwanowem, towarzyszem naszych peregrynacji po Leningradzie i okolicach. Długa rozmowa z A. Rudnickim, który w „Prześwitach" napisał sporo o Dostojewskim, swoim duchowym patronie. Dostojewski nie lubił Polaków i pisał o nich źle, ale to przecież nie przesłania nam faktu, że był wielkim pisarzem, jednym z największych w literaturze światowej, obok Szekspira i Cervantesa. Uroczystości z okazji 150-tej rocznicy jego urodzin stały się sposobnością do nowych przemyśleń o życiu i twórczości tego zadziwiającego pisarza.

JAN KOPROWSKI

EDWARD BRANDT

Choroba

nóż w puszkę wbiłem
po rękojeść
miękko
teraz opulchniona
nie leży już
na mnie
tylko od nóg
powiew jak westchnienie
i woda zgęstniała
że po kolana brodząc
próbując z piór się obedrzeć

ANNA POCHYŁA

Pełnia

pokonałem cię mówi mężczyzna
pokonałem jak odwieczna wielka rzekę
moje ramiona obejmą ją nowymi brzegami
tętno mojej krwi będzie wyznaczać jej bieg
moje oczy odnajdą jej kres
w pełni księżyca w mojej jest mocy
morze milczy kobieta
i łagodnie ucisza wzburzone fale
wielkie morze kołysze w złożonych dłoniach

Rys. L. Woźnicki

ELŻBIETA LASKOWSKA

List

Kiedy otwieram kopertę
skrzynka pustką świeci
i nie odlecę ptakiem
zamykam kamień.
I tak zawsze
świt wstaje leniwie
dzień długi dla mnie
listopadem się sączy
biała chusta leży na stole
nie dla mnie.
Nie otwieram kraty
— tak lepiej —
choć boję się ciemności
— kamienie sypią się w oczy.

BOHDAN JACHOWICZ

*
* *

z którego jesteś brzegu gdy wschodzisz
jakimi niesiesz ranek słowami
kto cię pożegnał kto cię powita
komu się zjawisz między wierszami

z którego brzegu jesteś gdy płoniesz
jakim nie zranić ciebie pytaniem
jak cię zapomnieć gdy się nie znało
i jak zatrzymać tuż przed nastaniem

ANTONI SZRAM

„FATAMORGANA”*)

Nie było już więcej okazji. A przede wszystkim rozdzielano naszą grupę; mnie skierowano do beton-maschinen-komando. Pracowałem na dwie zmiany, jedenaście godzin na dobę. Do kręcącego się bębna maszyny sypałem żwir, cement; mieszałem z wodą i spuszczałem do wywrotek.

Akurat mocowałem się z zaklinowanym wózkiem, gdy kapowie gwizdkami dali sygnał fajrantu.

Od południa zbliżali się ludzie, karbidówki zmianowej grupy dawały silny strumień światła, który raził w oczy.

Niecierpliwie oczekiwałem swojej zmiany; zasłoniłem twarz ręką i oparłem się zmęczony o betoniarkę. W takiej pozycji zdrzemnąłem się. Uderzeniem w ucho — zbudzono mnie.

Otworzyłem oczy, nie potrafiłem ogarnąć sytuacji. Lekko zachwiałem się. Dotknąłem palcami bolącego miejsca, czułem krew, rana piekła. Nie byłem w stanie mówić. Dziękowałem tylko wzrokiem, że mam przed sobą — Paula.

Tak — sam — na sam.

I rzuciłem się na niego. Powaliłem w żwir. Zaczęło się mordobicie. Z przeciwka nadeszli Francuzi, z Stadlerem na przedzie. Krzyczeli — „Hej, o co tu poszło?! Co się dzieje?”.

Biłem z obu rąk; byle wgnieść mu czaszkę tuż nad oczami, rozwalić łeb.

Przypadkowi świadkowie otoczyli nas szczelnie. Wpierw chcieli rozdzielić, sądzili, że to więźniowie załatwiają jakieś porachunki. Gdy rozpoznali Paula — uznali, że nie powinni się wtrącać. Zapadła momentalnie cisza.

Za chwilę Francuzów ogarnęło podniecenie. — „Dalaj, bij go Zozi!!!”.

Krew we mnie zawrzała. Biłem długo, aż omdlewały mi ramiona, kiedy wskoczyłem na niego, starałem się rozpruć mu brzuch trepami. Wytańczyłem na nim „siarczystą polkę”... Francuzi śmiali się. Ale w tym śmiechu było także coś z lęku.

Wreszcie ktoś krzyknął — „Paul, hast du genug?”. — Ja, ja. Ja, ich habe genug! — wycharczał.

Dwóch Francuzów oderwało mnie od Paula; co jednak nie było rzeczą łatwą. Dopiero gdy wykręcili mi ręce, pozwoliłem odciągnąć się na bok.

Potem pozbierał się wytarzany w cemencie Paul. Otrzepał się. Podszedł, chwycił mnie za kołnierz i, poprowadził na czoło kolumny; znowu poczuł się kapo.

Do wylotu jest około 300 m. Idąc spoglądamy na siebie nawzajem z nienawiścią. Pomyślałem: „chwycić za gardło i dusić, dusić tak długo, aż życie opuści cielsko tego gnoja”. Ale nic nie robię. Wychodzimy z tunelu i zatrzymujemy się bez słowa. Przede mną stoi Britzke. Przygląda mi się całe komando. Paul odwraca się i melduje.

Oczywiście, nie zdało się na nic moje, ani świadków tłumaczenie. Komandoführer wybuchnął śmiechem.

Cóż, na jego rozkaz wygiąłem się w pałąk na pniu, gdzie lubił przesiadywać i kurzyć fajkę. Zęby wbiłem w przegub prawej ręki, żeby tłumić jęki: byłem gotów.

Britzke wziął, od któregoś kapo bukowy kij. Rąbał gdzie popadło. Nie liczyłem razów. Wreszcie Britzke rzucił kij, wytarł ręce chusteczką do nosa i, uznawszy, że w ten sposób „Häftling 34611” szybciej wróci do równowagi — kopniakiem wskazał mi drogę — do szeregu. Raus! Ale moje położenie nie poprawiło się ani na moment. Otrzymałem dopiero zadatek.

I, choć na skalnej przełęczy Ljubelj spędziłem wiele, tygodni, przetrwałem wszystkie niebezpieczeństwa, epidemie, długotrwałe głody, zimno. Teraz przede mną łódzkim Häftlingiem — komunistą pojawił się zwodniczy miraż.

Kolumna rusza w drogę, ku dolinie. W jednej chwili świat bardzo się zmienił, nie poznawałem już znajomego traktu, ani gór, ani lasu. Powietrze zawsze tu czyste, stało się nagle ciężkie i niezdatne do oddychania.

— Słuchaj, Zozi — rzekł Stadler — głowa do góry!

Zrównał się ze mną w marszu. Szeptem pocieszał:

— Mam litr bimbru. Postaram się załatwić sprawę z Rudim. Nie martw się, nie zabiją cię...

Schodzimy dalej, ostrożnie, ale z niecierpliwością. Obóz już blisko. Wyobraziłem sobie wściekłość Raportführera, kiedy mnie zobaczy. Na pewno zarządzi egzekucję za bramą, jak zawsze na „placu śmierci”. Pożałowałem teraz swej zapalczywości; jeżeli ujdę z życiem, będzie cud. Wszystko zależy od przyjaciół, od MOKRO. (**).

Już obóz. Apel. Czekam. Łudzę się, iż wszystko przybierze jeszcze jak najlepszy obrót. W tym zameldowano o wszystkim Raportführerowi. Stałem z nisko zwieszoną głową.

— Häftling 34611!

Porwałem się gwałtownie, ukłuty rozkazem. To koniec?

Zostałem.

Sam, na rozległym placu pod lśniącym, porannym niebem. Przejmujący chłód. Śnieg prószył na baraki, na wieże wartownicze. „Wiecznie już chyba będzie tak padać — myślałem — bezszelestnie”.

Komanda rozchodzą się do bloków. Nocna, nasza zmiana idzie spać. Wyrwany z szeregu, stoję na baczność. Opuszczony przez wszystkich.

„Do widzenia” — znajomy głos. — Mój drogi Alia — myślę — kochany mahometanin. Patrzył na mnie i chyba płacze? Zacisnął pięści, zęby. No, idź, idź już.

Binder delektuje się...

Teraz już ze mną koniec — przygląda mi się, taksuje. To on kazał wyprowadzić mnie za szlaban. Na „plac śmierci”.

Świta, wciąż śnieg. Ciemno — szkarłatny blask reflektora. Zbliża się oswobodzenie. Szkoda, że tylko rajską uzyskam wolność. Światło sączy się między deskami bramy. Już jej nie przekroczę. Myliłem się kiedyś. Śmierć nie wywołuje grozy w człowieku sprawiedliwym ani dziesięć karabinów maszynowych, ani dziesięciu esesmanów. Wieże poszerzały się, ta z lewej strony bramy i ta z prawej strony. Ani dwadzieścia karabinów maszynowych, ani dwudziestu esesmanów... Ach, jakże serdecznie współczuję tym, skradającym się za drzwiami, wewnątrz lasu szumiącego za bramą, na stoku, w dolinie; oni zbliżają się do mnie... ha, ha, ha!

Janek Gałązka, Janek Błachowicz, Sasza — wróżbita, nieznany więzień z Klagenfurtu, a za nim wielu innych: Włosi, Francuzi, Jugosłowianie, nieznani mi bliżej, ludzie drwiący z przeszłości i bardzo dumni z tego, że ich tylko teraźniejszość obchodzi. Ciała przeszyte kulami esesmańskich MPJ-41, za cenę czternastodniowego urlopu. Idą do mnie również wszyscy, którzy na „Achtung!” zamarzli na śmierć, i ten, którego rzuciłem na płonący stos... Idą po mnie?... A więc... koniec? — Potknąłem się. — Wszyscy ludzie pierzchli, przepadli.

Widocznie spałem, obudziłem się.

Płatki śniegu zalepiły mi oczy. Nachylam się i podnoszę czapkę; esesman wartujący na wieży wrzeszczy: — Ty, polska świnio, uważaj! Gdy jeszcze raz się poruszysz, strzelam.

Straszliwy dźwięk smagnął mnie. Nie śmiąc podnieść oczu odwróciłem głowę, i wparłem spojrzenie w ścianę lasu. Zatrzymuję się pośród splątanych krzewów — przezwyciężam senność — nasłuchuję. Serce bije młotem. „Nie śpię, trzeba przetrwać” — myślę intensywniej: — „Wołanie anioła na Sąd Ostateczny, w mgnieniu oka zebrali się towarzysze, na tęczy zasiadają świadkowie: Alia Sahinievic, Misio Mirkovic, Louis Garnier, Maurice Collin, Micha, dalej — Bronek, Stasio, Józek, dalej — Miecio Architekt, Staś Jaworski, Zygmunt Błaszczyk, Staś Wielec, Ceśko Stelmach, Staś Kowalczyk, Kostek Kulhawy, Tomek Rutkowski, Józek Księżak, Kazik Rokiel, Janek Wasiak, Antek Guszczak, Józek Langos... Dobrze, mało nas — gdzie ja? Alia uśmiecha się, rzuca automat, wyciąga ramiona w górę i woła: — Zozi! Uśmiechnij się, głowa do góry! Zwyciężymy! Alia wzlatuje ku niebu. Wyciąga ręce, dotyka mojej czupryny”. — Uderzyłem tyłem głowy o głaz. Przebudziłem się; szybko podrywam się, zajmując miejsce w odciśniętych na śniegu śladach.

Esesman wychyla się przez okienko wieży — „du polnische Schweine”.

Diabeł dziś hula po górach, zadymka straszna. Godzina moja i rodzaj mój są niepewne.

Z końcem dnia jawi się u mnie esesman; otwiera szlaban i wprowadza. — Mensch, schneller! Los, los!

Więc taka jest śmierć? Poczułem lekkie uderzenie w tył głowy. To pierwsza kula. Dlaczego nie słyszę strzału? Widocznie przed śmiercią traci się słuch. Za chwilę drugie uderzenie. Druga kula!

Dlaczego się nie przewracam? Przyśpieszam kroku, a gdy trzecia kula trafiła mnie w to samo miejsce, machinalnie dotknąłem i poczułem ból. Krwawi. Kątem oka spostrzegłem, że to Britzke, potrząsając pistoletem popycha lufą. Przyśpieszam. Jestem pątnikiem? Wchodziłem na skrzyżowanie alejek, przed barakiem administracyjnym. Więc oni nadal pewnie prowadzą głupie śledztwo, aby nasycić się moim cierpieniem. O ileż prościej zostać rozstrzelanym!

Biegłem. Oddalałem się od swego prześladowcy; nie mógł za mną zdążyć, wezwał na pomoc drugiego szkopa.

Dogonił. Młody esesman oznajmia mi w biegu, że mam wejść do izby Raportführera Bindera.

Zniżył głos do szeptu: — Był telefon od Komandoführera. Binder zgodził się, żeby cię oszczędzić. Rudi wydał o tobie bardzo dobrą opinię. Głowa do góry! Niedługo nasi partyzanci będą atakować.

Wchodzimy do środka. Trzej esesmani ramię przy ramieniu. Mają zakasane do łokci rękawy i gumowe pałki.

Binder wskazał mi pod ścianą „ławę kar”. — „Kłaść się i wypiąć dupę!”

Z przemarzniętymi nogami, czekając do ósmej wieczór, na Bóg wie co; wreszcie się dobrze ogrzeję... Czeka mnie krótkotrwały ból.

Trzy razy po dwadzieścia pięć batów; ciosy raniły od razu do krwi.

— „Genug, genug!” — nieprzytomnego oblano wodą.

— „Ja... Er ist richtig ein polnisch eisener Koenig” — rżą Niemcy. I kopniakiem wyrzucili za drzwi...

Młody esesman zaprowadził mnie jeszcze do trzech izb, żebym napalił w piecach. Wsunął mi do kieszeni bochenek chleba, zawiązał sznurkiem rękawy i nogawki pasiaka oraz bluzę w pasie, uzyskane w ten sposób przestrzenie wypchałem zebranymi zewsząd skórkami chlebowymi. Wymodelowałem z tego wszystkiego, coś w rodzaju bałwana. Takiego odstawił mnie do baraku Rudiego.

Rudi zamroczony bimbrem, kazał rozebrać się. Wskazał na piec; pozwolił rozwiesić mokry pasiak. Takiego zaszczytu — zbaraniałem — nikt dotychczas nie zaznał od krótkorękiego bandyty; widocznie towarzysze przechytrzyli esesmanów.

Rudi uznał, że lepiej będzie oddalić mnie od Paula, w „trosce — jak zapewniał Stadlera — by kapo Paul nie zamordował häftlinga w nocy”. Zresztą, na wszelki wypadek przeniósł do baukomando. A wszystko za butelkę bimbru — który na czarnym rynku kosztował funt tytoniu, zebranego od około trzystu osób.

Ta udana akcja MOKRO wprawiła przyjaciół w doskonały humor. Najbardziej cieszył się Alia, przybiegł po nocnej zmianie, tańczył i śpiewał. Mój kochany Alia.

— Gdy wojna się skończy, a ty i ja przeżyjemy — to musisz przyjechać do Bośni. Poznam cię z moją siostrą i braćmi, no i z tatą i mamą. Dobrze?

— Jeśli żyją...

— Żyją! Na pewno żyją, czekają na mnie i na ciebie. Nie damy się. Wszystko będzie dobrze!

Wspomnienie kaźni uleciało gdzieś daleko...

---

*) Fragment książki „TUNEL LJUBELJ” napisanej na podstawie wspomnień komunisty Józefa Rzetelskiego Komendanta kompanii im. Starego partyzantki w Jugosławii.

**) MOKRO — Międzynarodowy Obozowy Komitet Ruchu Oporu.

WARSZAWSKIE WIECZORY TEATRALNE

JACEK FRÜHLING

CZECHOW NA WESOŁO

JAK wynika z licznych enuncjacji publicznych i wywiadów prasowych Adam Hanuszkiewicz, najbardziej dynamiczny, zadziorny i kontrowersyjny człowiek dzisiejszego teatru, jest nieubłaganym wyznawcą dyktatury reżysera i inscenizatora. Zarówno w stosunku do autora jak i w stosunku do aktora. Konsekwentne przejawy tej dyktatury widzieliśmy w teatrze Powszechnym na Pradze, obecnie jesteśmy ich świadkami w Teatrze Narodowym. I oto nasz dyktator odstąpił od swej tezy. Wystawił „Trzy Siostry" Czechowa wbrew ich pierwszemu reżyserowi. Reżyserem tym był na początku naszego stulecia Konstanty Stanisławski, którego typ i klimat inscenizacji utrzymał się na całym świecie aż po dzień dzisiejszy.

Inscenizacja ta, którą można by w skrócie określić jako sentymentalnie melancholijną, wywołała gwałtowne sprzeciwy i protesty autora; dał im wyraz w zachowanych po dziś dzień listach. Wynika z nich, że Czechow był niezadowolony z przesunięcia na plan dalszy warstwy komediowo-humorystycznej utworu, że za dużo mu w nim było ochów, szlochów, westchnień i łez.

Stanisławski przeszedł nad tymi protestami do porządku, nic nie zmienił, postawił na swoim. Aż dopiero w roku pańskim 1971 upomniał się o prawa Czechowa nasz dyktator Hanuszkiewicz. Wgryzłszy się w tekst, odczytawszy dokładnie korespondencję Czechowa, Hanuszkiewicz uznał, że „Trzy siostry" to w gruncie rzeczy wesoła, zabawna komedia satyryczna, zwłaszcza dla widza współczesnego. Koncepcja taka jest do przyjęcia tylko częściowo. Kiedy więc nieroby i leniuchy deklamują o rozkoszach, które przynosi ciężka, szara codzienna praca, trudno nie mówić tego bez przymrużenia oka. Egzaltowane, wzdychające za Moskwą trzy siostry mogą, może nawet powinny, być ukazane w tonacji groteskowo-komicznej. Również groteskowo farsowe zademonstrowanie fotografii zbiorowej przy świetle magnezjowym zaliczyć należy do pomysłów szczęśliwych, rzucających snop światła na minioną epokę.

Czy wynika jednak z tego, by całą sztukę ujmować nie tylko komediowo, ale momentami wręcz farsowo? Chyba nie. Kiedy siostry okładają się nawzajem poduszkami, kiedy sceny erotyczne ukazane zostają z niesmaczną wręcz brutalnością, kiedy raz po raz zaskakują nas chwyty wręcz cyrkowe, budzą się zastrzeżenia, rodzi się tęsknota za Stanisławskim. I jeszcze jedno. Trudno zrozumieć, dlaczego Hanuszkiewicz to, co w inscenizacji Stanisławskiego było komiczne, potraktował poważnie, bez drwiny czy ironicznego uśmiechu. Mam na myśli postać męża Maszy, nauczyciela miejscowego gimnazjum. Bez cienia tragicznego komizmu ukazana również została postać Nataszy, czechowowskiej Dulskiej w miniaturze.

Jakie z tego wnioski? Teatr samą, choćby najgenialszą, koncepcją reżyserską żyć nie może. Nie można również opierać nowych ujęć o takie czy inne zastrzeżenia autora, a w każdym razie nie należy zastrzeń tych doprowadzać do karykaturalnej przesady.

Jeżeli chodzi o aktorstwo to w sztukach tego typu co „Trzy siostry", mimo jak najdalej idącego zrozumienia dla nowoczesności nie jest chyba dobrze, kiedy aktorzy, z niewielkimi wyjątkami, ukazani zostają jako marionetki, poruszane bezlitosną ręką inscenizatora. Ucieczka od rodzajowości, od natarczywego naturalizmu, proszę bardzo, ale figury, stworzone przez Czechowa to przecież przede wszystkim ludzie, którzy muszą coś przeżywać. Demonstrowanie chińskich cieni po jakimś czasie nuży, podobnie jak natarczywe przeżywanie albo natrętny naturalizm.

Przeżywanie to zastosował Teatr Współczesny w sztuce autora czeskiego Landowskiego „Pokój na godziny". W okropnej, zagraconej norze, zamieszkałej przez dwóch starych nędzarzy, spotyka się za skromną opłatą para młodych — studentka i żonaty mężczyzna. Zamiast szaleć w barłogu młodzi zapuszczają się w pseudofilozoficzne debaty z dwoma starcami o znikomości świata. Sztuka jest czymś w rodzaju Becketa dla ubogich, reprezentuje pusty, pretensjonalny antyteatr w którym postacie mimo ludzkich pozorów są w gruncie rzeczy abstrakcyjnymi marionetkami.

Zagranie jej, jak gdyby napisał ją Gorki, nie przekonuje, nie trafia do widza. Tu właśnie przydałyby się chwyty, zastosowane do „Trzech sióstr".

„W WALCE NIEŚLI SŁOWO I MYŚL"

Z inicjatywy studentów Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej poetom podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego: Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu, Tadeuszowi Bojarskiemu, Tadeuszowi Borowskiemu, Tadeuszowi Gaycemu, Ewie Pohosce, Wojciechowi Menclowi, Zdzisławowi Stroińskiemu i Andrzejowi Trzebińskiemu. Podczas uroczystości, w której uczestniczyli profesorowie i studenci UW, pisarze i rodziny poległych poetów podziemia, przemówienia wygłosili prof. dr J. Z. Jakubowski, Lesław Bartelski, mgr Andrzej Tauber-Ziółkowski i prof. dr Zofia Szydtowa.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

W STRONĘ PRZYPOWIEŚCI

Nowy tom wierszy Bernarda Antochewicza — „przeprawa" wydaje się być rezultatem przemyśleń i chęci pełnego wypowiedzenia losu człowieczego, rekapitulacją niepokoju metafizycznego bardziej, niż kontynuacją poszukiwań artystycznych, o których wspominaliśmy przy okazji omawiania „Żelaznej sierści". Można by mówić o braku konsekwencji w dziedzinie traktowania słowa przez naszego poetę. Bo oto, zaprzeczał on wartości słowa, a jednocześnie znaleźliśmy w poprzednim tomiku takie sformułowanie programowe:

„słowo jest wiosłem języka
obracającym planety
w ręce naszej jak latawce"

Było w tym coś z odżegnywania się od praktyk lingwistycznych w poezji. Lecz nie było to świadectwo kresu zmagania się ze słowem u naszego autora. Mogą o tym zaświadczyć dwa inne cytaty:

rozmiary NATURY są
nieprzenikliwe,
idziemy w nieustannym deszczu
oślepia nas, obezwładnia
wciąż bezsilny, odrzeczowiony
ród słownictwa,
który nie rozjaśnia nam
ciemnego łona natury,
sypiemy się w głąb rzeki
w której przemykamy zupełnie
niewidoczni"

A dalej:

„tu
znalazł autor miejsce
skąd będzie możliwa przeprawa
w prawdziwym słowa istnieniu"

Antochewicz więc choć tęskni do reizmu, do łatwego opisania zjawisk i rzeczy — zdaje sobie w pełni sprawę, że odciął się od niego. Podjęcie się przedstawienia problematyki metafizycznej stanowi przeszkodę nie do przebycia, dlatego też i powrót do reizmu jest u niego niemożliwy i stąd poszukiwanie nowego sposobu budowania wizji, stąd wątpliwości, zwątpienie w wartość słowa. Dlatego też Antochewicz konsekwentnie i z uporem poszukuje nowych form wypowiedzi poetyckiej. Nie znaczy to bynajmniej, że obchodzą go praktyki „słowiarskie". Poszukuje on szerszej koncepcji poezji, wykraczającej poza tradycyjne funkcje kulturowe, dla niego poezja to nie rzemiosło, lecz próba metafizyki. W takiej sytuacji staje się ona jednocześnie światopoglądem — odpowiedzią na świat, narzędziem jednostki w walce o duchowe istnienie. Dla Antochewicza owo istnienie dokonuje się, jak gdyby poza naturą. Nic więc dziwnego, że poszukuje on środków, które stałyby się budulcem innego świata, świata stworzonego przez poetę, powołanego do życia, by służyć życiu. Poezja staje się dla niego aktem istnienia. I w tej wizji zawiera się optymizm poety. Dlatego też wychodzi on zwycięsko z zestawienia tego świata ze światem natury, w którym jednostka ludzka nie znaczy wiele. W tym nowym, stworzonym przez poetę świecie dramat istnienia nie wynika z obsesji przemijania, tu nie ma już na nią miejsca. Można więc mówić o zwycięstwie, jeśliby zestawić niektóre wiersze z „Żelaznej sierści" z tekstami, które zawiera „przeprawa".

Odwrót od zachwycenia światem, naturą, które wybijały się u Antochewicza dawniej — położyły kres tworzeniu poezji estetyzującej niekiedy. Zaś podjęcie problematyki metafizycznej zdeterminowało u niego pewien zwrot. Obserwujemy teraz mianowicie skłonność wiodącą autora w stronę przypowieści. Konsekwentnie rezygnuje on raczej z obrazu poetyckiego, bliższy mu jest w praktyce poetyckiej Peiper, niż Przyboś. Nie rezygnując z ascetycznej wręcz oszczędności słowa, tworzy wizje osiągające rangę poematów. W wierszach tych pojawia się aluzja. Antochewicz nie ogranicza się już, jak dawniej do doświadczenia biologicznego, czy historycznego, lecz korzysta także z doświadczeń scjentycznych i filozoficznych. To także narzuca mu konieczność poszukiwania własnej, odrębnej formuły poetyckiej, a towarzyszy to poszukiwaniom, czy może raczej chęci stworzenia własnej, odrębnej metafizyki. Antochewicz pragnie znaleźć formułę poetycką, która mogłaby uzyskać rangę argumentu myślowego i temu właśnie podporządkowuje środki wyrazu. Dlatego też przydatność dyskursywnego języka jest dla niego znikoma i stąd poszukiwanie nowych wartości słowa, dotąd nieodkrytych.

W „przeprawie" znajdujemy piękne tłumaczenie „Hymnów do nocy" Nowalisa. Wydaje się to być symptomatyczne i trzeba stwierdzić, że tekst ten nie jest bynajmniej „przyczepiony" do tomiku, lecz doskonale harmonizuje z zawartymi w nim tekstami. Powiedzmy mocniej wydaje się, że Nowalis narzucił Antochewiczowi w pewnym sensie problematykę, lecz Antochewicz znalazł inne rozwiązania, podejmuje dyskusję, przedstawia własne rozwiązania.

Autor „przeprawy" filozofuje, podejmuje dyskusję, nie zgadza się na świat, w którym żyjemy. Lecz jego eksploracja ma przecież charakter poetycki. Czytelnik nie znajdzie tu dyskursu do jakiego przyzwyczaili go nasi „klasycyści". Antochewicz bowiem dba o nośność słowa, dynamizuje go poprzez wydobycie zeń nieznanych dotychczas walorów.

W ostatecznym wymiarze poezja ta nosi znamiona romantycznego buntu przeciw kruchości losu człowieczego, przeciw ograniczeniu człowieka przez naturę. I choćby poeta nie znalazł rozwiązań w walce o miejsce człowieka na ziemi, to przecież jego działanie jest świadectwem poszukiwania — wysokiej rangi. Ta poezja nie tylko opowiada się po stronie losu ludzkiego, lecz stanowi poszukiwanie sensu istnienia, wyzwolenie wewnętrznej aktywności, próbę poszukiwania innej, nieodkrytej dotąd prawdy o człowieku. I to, właśnie to określa jej rangę.

*) Bernard Antochewicz: „PRZEPRAWA", Ossolineum, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk — 1971 r., cena 12 zł.

Przeszłość i teraźniejszość

P. J. Grzelak w zamieszczonym w Waszym piśmie artykule „Badania nad historią klasy robotniczej" („Odgłosy" nr 48 z 28. XI. 1971 r. s. 7) określił moją rozprawę „Skład, dynamika i rozmieszczenie klasy robotniczej w województwie warszawskim w latach drugiej niepodległości" „kalką" monografii znanego badacza. Sformułowanie to wielce subtelne — czy może zupełnie niesubtelne — oznacza w języku mniej uduchowionych osób, że popełniłem plagiat. Ponieważ środowisko historyczne, odmiennie np. niż dziennikarskie, nie posiada instytucji sądu koleżeńskiego, do którego mógłbym p. Grzelaka zaskarżyć o nadużywanie słowa drukowanego, przeto proszę uprzejmie o opublikowanie w Waszym piśmie niniejszego listu oraz oświadczenia p. Grzelaka, w którym konkretnie wskaże gdzie i w jaki sposób popełniłem ową „kalkę". Czyżbym np. równie niestarannie i niefrasobliwie odniósł się do danych statystycznych jak ów „znany badacz", co mu wytknęła krytyka naukowa? Jakie może p. Grzelak wskazać inne chociażby metodologiczne podobieństwa? Chyba różnice tematyczne pomiędzy Warszawą a województwem są tak głębokie, że nawet o stosowaniu analogicznych metod badawczych można mówić z najwyższą ostrożnością. Oczekuję wyjaśnień.

LUDWIK HASS

Przytoczmy najpierw zdanie z felietonu, ogłoszonego w nr 48, a dotyczące pana L. Hassa, bowiem ów nie zacytował go w całości: „Rozprawa L. Hassa o składzie, dynamice i rozmieszczeniu klasy robotniczej w województwie warszawskim w okresie II Rzeczypospolitej jest zarówno pod względem tematycznym, jak metodologicznym kalką znanej, ogłoszonej przed kilkoma laty książki innego warszawskiego badacza o klasie robotniczej stolicy w latach międzywojennych, dziwne, że tutaj nie wspomnianej". Chodzi oczywiście o książkę M. Drozdowskiego „Klasa robotnicza Warszawy 1918—1939. Skład i struktura społeczna", którą swego czasu omawiałem na łamach „Odgłosów". P. Hass w swej pracy zajął się również zagadnieniami struktury klasy robotniczej (pojęcia tego nie użył w tytule, ale posługiwał się nim w tekście, np. na str. 211), a więc podjął problem analogiczny w odniesieniu do tego samego okresu czasu, ale innego obszaru, w oparciu o odmienny, przynajmniej w znacznej swej części materiał źródłowy. Więcej: nie poszedł śladem tych badaczy, którzy wciąż jeszcze hołdują tradycjonalnej postawie „opisywackiej", ale przedstawił czytelnikowi analityczne studium strukturalne. Pod względem metodologicznym więc jest jego praca przykładem szczęśliwego zastosowania inspiracji strukturalistycznych do badań nad klasą robotniczą, niezależnie od tego, czy autor o tym mówi, czy też nie. I to jest zasadnicze podobieństwo pracy L. Hassa do rozprawy M. Drozdowskiego: zachodzi ono w sferze ogólnej koncepcji badawczej i problematyki, nie w szczegółach. Czytelnik, który położy przed sobą obie te prace, może to łatwo skontrolować nie bacząc na to, czy autor listu dopuszcza tu istnienie zbieżności. Czytelnik ten będzie miał również możność stwierdzenia, że p. Hass posługuje się precyzyjnym warsztatem analitycznym, podczas gdy ta strona książki Drozdowskiego budziła spore zastrzeżenia krytyki.

Krytyka jednak, jaka spotkała pracę M. Drozdowskiego, była wielostronna i podkreślano w niej nie tylko potknięcia autora, ale zwrócono również uwagę na pionierski charakter przyjętej przezeń koncepcji badawczej. Natomiast p. Hass, pomimo wszystkich walorów jego rozprawy, pionierem nie jest ani co się tyczy ogólnej koncepcji historycznego badania. ani co do tematyki i jest to również niezależne od tego, czy to dostrzega, czy też nie. Jeżeli podejmuje w oparciu o analogiczną generalną koncepcję studium analogicznego przedmiotu, może czytelnik uznać, że mamy tutaj do czynienia ze swoistą „kalką". Uduchowiona i subtelna wrażliwość kazała autorowi listu dopatrzeć się w tym słowie znaczenia, którego jak dotąd język polski — przynajmniej w tym zakresie, w jakim jest mi znany — nie posiadał i nie posiada. Pojęcie to jest jednak dobrze znane choćby z obszarów historii literatury. Jeżeli nie chce się, bądź nie potrafi rozróżniać znaczenia słów, łatwo jest szermować zarzutami o ich nadużywaniu.

Słowo, które tak dotknęło p. Hassa, znalazło się w mym felietonie w szerszym kontekście, którego on nie był łaskaw zauważyć. P. Hass niewątpliwie zna rozprawę M. Drozdowskiego, przypomnę mu nawet, że dyskutował nad nią — co prawda może bardziej nad czym innym — na zebraniu w jednej z warszawskich placówek naukowych, ale traktuje ją per non est. Jeżeli badacz, który podejmuje problematykę analogiczną w stosunku do badań dawniejszych, z niewiadomych mi, zapewne jednak bardzo subtelnych powodów przemilcza istnienie tych ostatnich, to czytelnik ma prawo wyrazić swoją dezaprobatę w stosunku do tego rodzaju subtelnej metody, co też uczyniłem w tej części zdania, na którą autor listu nie był łaskaw zareagować. Cóż, nie p. Hassowi potrząsać sądowym pozwem, ale raczej już komu innemu... nie mnie jednak, więc może mnie to nie interesować. Nikt p. Hassa nie posądzał o plagiat czy coś podobnego. P. Hass posądza jednak pewnie siebie, że jest badaczem w najabsolutniejszy sposób oryginalnym, niezależnym od wszystkiego co i kiedy dzieje się w nauce historycznej. Czytelnik wyrobi sobie na ten temat własne zdanie, bowiem teksty naukowe, podobnie jak literackie, z chwilą ich opublikowania żyją własnym życiem, nie zawsze zgodnym z intencjami autorów. I jako takie podlegają publicznej dyskusji, również i wnikliwe studia L. Hassa o klasie robotniczej województwa warszawskiego w okresie międzywojennym.

JÓZEF GRZELAK

P.S. Do sprawy tej nie będę już wracał, niezależnie od stanowiska, jakie zajmie autor listu.

Przeszłość i teraźniejszość

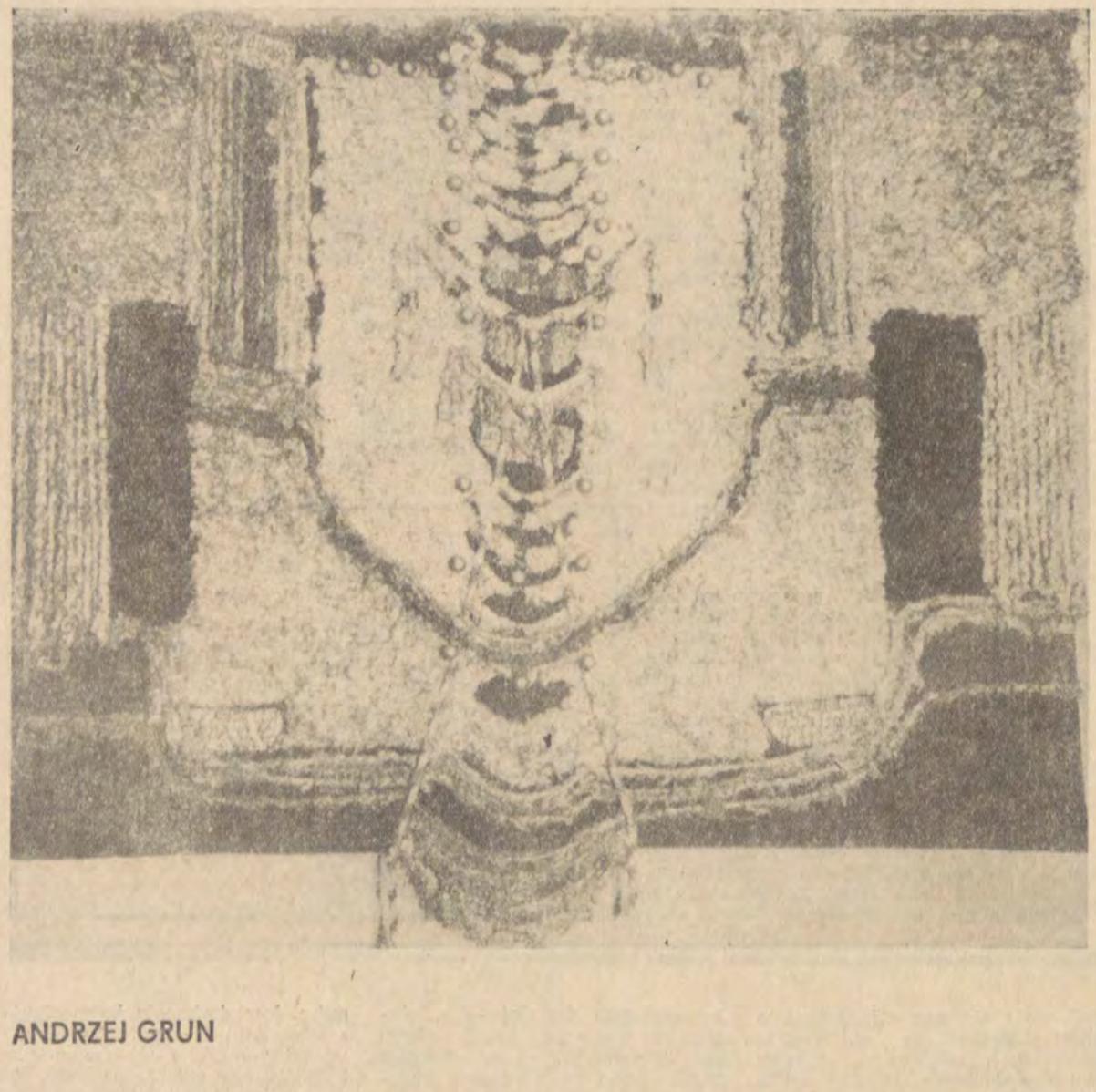

ANDRZEJ GRUN

Tkaniny Zofii Próchnickiej

Obraz nigdy nie czuł się za dobrze w granicach fizycznych, jakie wyznaczali mu artyści. Wyrywał się, trawiony niezrozumiałymi, na pozór tęsknotami, czy może ambicjami z prostokąta deski, płótna, ściany. Uciekał się do najprzemyślniejszych forteli, od wszelkich perspektyw malarskich począwszy, poprzez iluzję światłocienia i koloru, aż po faktury i najdziwniejsze materiały, a wszystko po to, aby wyzwolić się z nienawistnych więzów płaszczyzny. Wreszcie, a stało się to w pierwszych dziesiątkach XX wieku, sięgnął obraz z determinacją po przestrzeń nie iluzoryczną, a fizyczną, realną, wchodząc tym samym w rubieże zastrzeżone do tej pory dla płaskorzeźby i rzeźby. Co więcej, rozbudowując płaszczyznę, do której był dotychczas przykuty, wzdłuż, wszerz, w poprzek, do przodu i w głąb, nie zrezygnował przy tym z żadnych doświadczeń swojego wielowiekowego warsztatu. Przestał być sumą płótna i farby — stał się czymś innym. Czym? Nie nazwał siebie jeszcze, nieświadom w pełni ostatecznego celu swoich anarchistycznych poczynań. Wiedział jedno, że kajdany płaszczyzny i ramy zostały raz na zawsze zerwane...

Zachowaniem swoim sprawił obraz mnóstwo zamieszania i kłopotu, przede wszystkim buchalterom sztuki, którzy do dziś nie bardzo wiedzą, w jakiej szufladce go zamknąć a również krytykom sztuki, którzy zaczęli zachowywać się tak, jak igła magnesu położonego na żelaznym kowadle.

„Ale owa przygoda obrazu nie była czymś wyjątkowym. Przeciwnie — okazała się nader typową. Stała się udziałem wszystkich niemal dyscyplin sztuki. W efekcie granice pomiędzy poszczególnymi dyscyplinami zacierają się coraz bardziej, a konstytutywne, zdawałoby się, cechy jednych stają się naturalnymi cechami innych. Obraz stał się rzeźbą, nie mając wcale zamiaru przestać być obrazem. Rzeźba, z kolei sięgnęła łapczywie po kolor, po muzykę, ruch, światło. Kameralnej, skromnej dotychczas grafice, zamarzyły się jarzące barwy, wielkie formaty, faktury, reliefowate tłoczenia. Ceramika nie tylko powróciła do architektury pomna swych świetnych dni w żyznej dolinie Eufratu, ale wyszła przed nią jako pełna praw samodzielnych rzeźba monumentalna. Sztuka wzięła wreszcie w posiadanie pejzaż, czyniąc zeń tworzywo równie dobre i uległe, jak farba czy glina. Natura, dotychczas mistrzyni niedoścignia, potraktowana została jako najzwyklejszy półfabrykat

Z tych przemian i dyfuzji powstały twory zgoła dziwne, nie nazwane do końca, zawieszone między niebem a ziemią. W pustce, próżni. Byłoby jednak grubą przesadą brać babki z piasku (trelinkami bodajże zwane), kantorowe parasole, czy czterdziestohektarowe kompozycje ze snopków siana za rzeczywisty obraz sztuki współczesnej. Te wszystkie przejawy pseudoawangardy, mimo iż głośne — tak głośne, że samym ich twórcom pękają bębenki, czyniąc ich absolutnie głuchymi — znaczą w gruncie rzeczy niewiele. Faktem bezspornym jest, że z procesu integracji różnych dziedzin i dyscyplin sztuki poszczególne gatunki wyciągnęły oczywiste dla siebie korzyści. To, czy malarstwo nazywać będziemy nadal malarstwem, grafikę — grafiką, rzeźbę — rzeźbą, nie ma większego znaczenia. Najpierw powstaje rzecz, potem słowo.

Tkaniny Zofii Próchnickiej będę nazywał tkaninami, mimo że z tradycyjnym znaczeniem tego słowa niewiele mają wspólnego. Próchnicka przyjęła bowiem przy realizacji swych kompozycji zasadę collage'u, stosując najrozmaitsze materiały i elementy gotowe, w tym także różne rodzaje tkanin, jak plusze, tiule, koronki, brokaty itp. Łącząc je ze szkłem, metalem, folią tworzy sugestywne, pełne nastroju i tajemniczości kompozycje, oparte przeważnie na kanwie jakiegoś utworu literackiego lub muzycznego (tytuły: Szeherezada, Kniaź Igor, Kleopatra, Nokturn). Próchnicka ukończyła łódzką szkołę plastyczną, studiując malarstwo w pracowni prof. Jaeschke i tkaninę dekoracyjną u J. Pierzgalskiej i A. Orzechowskiej. Dyplom otrzymała w 1967 roku, a już w dwa lata później na okręgowym konkursie na tkaninę otrzymała I i III nagrodę. Była współprojektantem kostiumów dla zespołu pieśni „Śląsk", projektowała ubiory dla filmu i baletu. Ważnym momentem w rozwoju jej świadomości plastycznej i wyobraźni było zetknięcie się ze sztuką prawosławną. W czasie praktyki w Łańcucie współuczestniczyła w konserwacji starych ikon, a nie ma przecież lepszej metody nauki niż metoda analizy. Sztuka ikony wywarła wpływ na twórczość Próchnickiej niewątpliwy. Wpływ na sposób komponowania, na operowanie nastrojem, na dramaturgię kompozycji. Tkaniny-collage Próchnickiej, oparte na kontraście faktur, na pointach wynikających ze spotkań różnych, pozornie obcych sobie materiałów, wreszcie na zestawach kolorystycznych, operują bogatą skalą ekspresji — od liryzmu po akordy głośne, niemal monumentalne.

Próchnicka, oczywiście, nie wymyśliła tego wszystkiego. Tkaniny — collage robiło przed nią wielu artystów u nas i gdzie indziej. Zaletą Próchnickiej jest świeżość, impresyjność, lekkość właściwa tworom, potraktowanym w sposób szkicowy. Obcując z tkaninami Próchnickiej odnosi się wrażenie, że przed chwilą zaczęto nad nimi pracować i daleko im jeszcze do ostatecznego kształtu. Co najzabawniejsze — wrażenie to nie przeszkadza, przeciwnie — wyobraźnia uzupełnia owe kompozycje, rozbudowuje je, poszerza ich znaczenia. W tkaninach tych widz znajduje miejsce dla siebie, miejsce wygodne i miłe, lecz nie usypiające. Poza tym może właśnie to wrażenie szkicowości przekreśla dystans między dziełem a odbiorcą.

Zasadniczą rolę przypisuje Próchnicka barwie: to gama kolorów raz stonowanych, kiedy indziej kontrastowych jest kondensatorem nastroju i tajemnicy. A obok koloru — światło! Błyski metalu, promień odbity od zawieszonego wśród koronek szkiełka. Efekty te przywodzą z jednej strony na myśl fragmenty starych płócien, gdzie tak pięknie malowane były szaty, a przy nich broń i ozdoby drogie — a z drugiej strony propozycje scenograficzne aż proszące się o powiększenie do skali sceny i aktora.

Właśnie teatr. Właśnie opera, muzyka. Jest tego w tkaninach-collage'ach Próchnickiej bardzo dużo. Zależności z tymi dziedzinami sztuki są oczywiste. Przypuszczam, że Próchnicka doskonale radziłaby sobie ze scenografią i kostiumem, operuje bowiem sprawnie przestrzenią, formą i kolorem. Przypuszczać należy, że to, co w tej chwili robi Próchnicka, jest pewnego rodzaju próbą sił. Jej inwencja i wyobraźnia pozwalają z ciekawością oczekiwać na dalsze propozycje.

Na marginesie wystawy Zofii Próchnickiej w salach Muzeum w Sieradzu.

ZAPROSZENIE DO SUPRAŚLA

Dalszy ciąg ze str. 5

potrzebowanie na pamiątki, zwłaszcza na pamiątki turystyczne z Białostocczyzny, zadecydowało o powstaniu drugiej specjalizacji. Ma ona swoje odpowiedniki w Opolu, Orłowie i Zamościu.

Supraśl ma wielu wiernych miłośników w różnych częściach kraju. Należał do nich m.in. prof. Sławiński, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, który tak polubił to miasto, że w swej ostatniej woli polecił pochować się na cmentarzu w Supraślu. Jest on autorem projektu zbudowania sanatorium w okolicach Supraśla, w kierunku wsi Czyliczanka, gdzie znaleziono pokłady borowinowe — projektu, niestety, dotychczas nie zrealizowanego.

Ta miejscowość jest jeszcze ciągle nie odkryta. Ma ona swój mikroklimat, dzięki któremu jest tutaj więcej słonecznych dni niż w okolicy, ma rzekę względnie czystą, w której — rzecz w Polsce coraz rzadsza — trafiają się jeszcze ryby, ma lasy bogate w runo i w zwierzynę, ma wreszcie ciekawe okolice, jak chociażby północno-wschodnie krańce Puszczy Knyszyńskiej, gdzie z wyżyny oglądać można piękną panoramę rzeki Supraśli, czy szlak turystyczny z Królowego Mostu do wsi Kołodno, gdzie idzie się po wąskim grzbiecie moreny czołowej na wysokości około 200 metrów, a po jej obu brzegach znajdują się strome przepaście, głębokie na 30 metrów i więcej. Inne tereny okoliczne to znów w okresie zimy wymarzone szlaki narciarskie — każdego roku odbywają się tutaj zawody narciarskie województw nizinnych.

W chwili obecnej Towarzystwo Przyjaciół Supraśla opracowuje informator historyczno-turystyczny oraz monografię Supraśla. Bierze w tych pracach udział m.in. pan Józef Zyskowski, pracownik Muzeum Okręgowego w Białymstoku. On to właśnie powiedział mi o zamierzeniach, które zainteresują nie tylko zwolenników turystyki letniej czy zimowej. W odrestaurowanej wieży klasztornej i w kaplicy pałacu opatów mają wkrótce powstać ekspozycje poświęcone historii „grodu nad Sprzaślą", gdzie główną atrakcją będą słynne bizantyńskie freski z Supraśla.

TADEUSZ GICGIER

Rzecz o rozwoju wiedzy historycznej w NRF

JÓZEF DUTKIEWICZ

Nowi ludzie, stare tradycje

Historiografia niemiecka długi czas pozostawała pod urokiem L. Rankego, twórcy tzw. pruskiej szkoły historycznej. Jego bezpośrednimi następcami byli J. G. Droysen, H. Sybel i H. Treitschke. Pierwsza wojna światowa i klęska cesarskich Niemiec niewiele wywołała zmian w optymistycznej szkole historycznej pruskiej, hołdującej poglądom idealistycznym, a zwalczającym racjonalizm wraz z hasłami Rewolucji Francuskiej 1789—1794. Najwybitniejszy historyk okresu republiki weimarskiej, F. Meinecke, akceptował w r. 1914 cele wojenne cesarskich Niemiec, jak większość historyków, składających w czasie wojny słynne memoriały do władz o potrzebie aneksji. Dyskusja w sprawie winy za wybuch wojny (tzw. Kriegsschuldfrage) dyktowała historykom niemieckim patriotyczny obowiązek zrzucania odpowiedzialności za wybuch wojny na carat lub na Anglię. Podjęte przez władze republiki weimarskiej wydawnictwo dokumentów dyplomatycznych z lat 1871—1914 nie posłużyło historykom niemieckim do rewizji sądów o Bismarcku, lecz raczej do utwierdzenia legendy „żelaznego kanclerza".

Okres hitlerowskiej dyktatury nie został dotychczas dokładnie przebadany. W NRD panuje przekonanie, że historycy niemieccy jako całość dali się wprzęgnąć w służbę propagandzie Goebbelsa. W NRF podkreśla się, że w 1933 roku tylko jeden profesor zwyczajny — historyk, był członkiem NSDAP, tylko jednak 15 proc. historyków przeniesiono na emeryturę lub spensjonowano i to nie dla lewicowych poglądów politycznych, lecz jako „rasowo obcych". Dość znaczna liczba emigrowała. Podręczniki szkolne, tak dla szkół podstawowych, jak i średnich, uległy całkowitej hitleryzacji. Oparły się podręczniki uniwersyteckie i względną swobodę pozostawiono badaniom naukowym. Na łamach oficjalnego organu „Historische Zeitschrift" w latach 1935—1945 tylko jedna trzecia artykułów wykazywała tendencje prohitlerowskie. Niemniej, między reprezentantami tzw. pruskiej szkoły historycznej a wersją urzędową w sprawie np. oceny Rewolucji Francuskiej, zachodziła zdumiewająca zgodność. Senior niemieckich historyków, F. Meinecke, potępiał hitlerowską politykę wewnętrzną, ale miał słowa uznania dla Anschlussu, dla przyłączenia Sudetów do III Rzeszy. Inny weteran cechu historyków, E. Marcks, napisał w 1932 roku biografię Hindenburga, którą wykorzystywano przeciw Hitlerowi, ale była to krytyka Hitlera z prawicowych pozycji konserwatysty, w oczach którego Hitler był demagogiem, zachęcającym plebejuszy i lumpenproletariat do akcji. Uogólniając, stwierdza się w NRF, że historycy nie byli pod całkowitą kontrolą reżimu nazi.

Po roku 1945 nie obserwujemy radykalnych zmian w metodach historycznych. Nadal uprawia się kult Rankego, choć F. Meinecke w swej książce o niemieckiej katastrofie postulował, by zwrócić oczy na Burckardta, odejść od idealizmu i rzekomego obiektywizmu Rankego. Wskrzeszona „Historische Zeitschrift" zamieściła obszerny pean na cześć K. A. Muellera, redaktora z okresu hitlerowskiego. Czołowym niemieckim historykiem w NRF uznany został G. Ritter. Zgłosił on szeroki program przebudowy niemieckiej nauki historycznej. Rewizja poglądów miała m.in. dotyczyć odpowiedzialności za wojnę, ale podobnie, jak H. Rothfels, Ritter zrzucał z nauki niemieckiej odpowiedzialność za dojście Hitlera do władzy. Hitleryzm był importowany z zewnątrz, nie wynikał z idealizmu niemieckiego. Ci historycy gotowi są rozgrzeszać państwo pruskie z zarzutów militaryzmu, biurokrację pruską z zarzutu serwilizmu. Dowodzi się, że Fryderyk II nie był bynajmniej militarystą, że sławny plan Schlieffena sprzed I wojny, przewidujący przecież uderzenie na neutralną Belgię, był „czysto obronny", pokojowy. Gdy w Stanach Zjednoczonych opublikowano książkę H. Rosenberga, demaskującą pruską biurokrację, pruską arystokrację i system rządów autokratycznych w latach 1660—1815, w NRF żadna firma nie podjęła się tłumaczenia tego dzieła. Historycy z NRF wierzą, że naród niemiecki był głęboko pokojowy, a faszyzm został importowany. Według Rittera, to nie tradycje Fryderyka Wielkiego, Bismarcka czy Wilhelma II, ale obce wpływy demagogiczne, na przykład Dantona, Mussoliniego, były wzorem dla totalnego pań-

10840 - A

ANDRZEJ HAMPEL

POLITYCZNY TEATR KONFRONTACJI

Aby teatr był prawdziwy, tj. aby był organizmem żywym, politycznym, miejscem konfrontacji idei, postaw i ludzi, a nie miejscem prymitywnej rozrywki i oportunizmu, musi nieustannie pasować się z konformistycznym sposobem myślenia, banałem, kłamstwem, zdzierać bielmo z oczu. Musi być prawdą.

Zbyt często jednak szlachetna idea „życia teatrem" przeradza się, jak niedawno mówił w Łodzi Konstanty Puzyna, w koncepcję „życia z teatru". Zbyt często też mamy do czynienia z teatrem minimalizującym w człowieku poczucie niedosytu, dążenie do poszukiwań.

VIII Łódzkie Spotkania Teatralne potwierdziły już któryś raz z rzędu także i moje przeświadczenie, że to, czego szukamy w pięknej sztuce teatru, tworzone jest przez najwartościowsze zespoły studenckie. Teatr profesjonalny jest w porównaniu z nimi, jakże często jeszcze niestety tylko imitatorem, ilustratorem pseudoproblemów, historyjek i anegdot miałkich, dalekich od spraw naprawdę ważnych.

Truizmem jest dziś twierdzenie, że teatr nie może ignorować wydarzeń politycznych i społecznych i by współbrzmieć z głosem swojej epoki, musi reagować na współczesne mu dramaty. Powinien być miejscem społecznej terapii, laboratorium formułującym własne niekonformistyczne myśli, powinien społeczeństwu objawiać jego ukrytą siłę i zachęcać, by przybierało postawę kreacyjną.

Dla obserwatorów Spotkań jasne było, że animatorzy teatrów studenckich nie zadowalają się tylko dystrybucją istniejących wartości kulturowych, lecz podejmują działania, zmierzające do dokonania zmiany w świadomości widza. Myśląc o zrealizowaniu tego celu, jedyną drogę widzą w prawdzie i szczerości. Dlatego też m. in. rezygnują, obawiając się nieautentyczności, z wystawiania sztuk „gotowych", napisanych i skończonych, opatrzonych didaskaliami, by wysiłkiem całego zespołu, często improwizując, dążyć do samodzielnego poznania i przedstawienia sprawy, której się oddają.

W czasie Spotkań często miałem wrażenie, że zazwyczaj używane określenia, jak „przedstawienie", „widowisko", „sztuka" nie oddają w tym wypadku istoty rzeczy, kto wie, są może nawet nie na miejscu. Potężny ładunek szczerości, zapamiętania i ognia wewnętrznego, ich wartość ideowa każą raczej mówić o pokoleniowych wręcz wypowiedziach pisanych i mówionych na scenie, jakikolwiek by ona kształt miała. Jestem głęboko przekonany, że nie tzw. warsztat teatralny, sprawność aktorska (proszę mnie tu nie posądzać o pochwałę dyletantyzmu w ogóle) są dziś w młodym teatrze sprawą najważniejszą. Daleko istotniejsze jest to, co ma on do powiedzenia, a więc ładunek myślowy i wyraźnie zaznaczony stosunek do świata i sztuki. Czysty i szczery.

Kto widział „Jednym tchem" w „Teatrze Ósmego Dnia" z Poznania, spektakl pełen potknięć technicznych i aktorskich, ten wie dobrze, że nie znaczą one wiele w ostatecznej ocenie. Pozostała bowiem w pamięci drapieżna i okrutna wizja naszej rzeczywistości. Odważna aż do bólu demaskacja niedawnej przeszłości, pustych deklaracji i zawołań, zobowiązująca widza-uczestnika do głębokiej refleksji, do wyzbycia się naiwności. Pozostał w pamięci godzinny spektakl prawdy wykrzyczanej nam w twarze.

Zarówno „Teatr Ósmego Dnia", jak i łódzki „Teatr 77" i krakowski „STU" śmiało można nazwać politycznymi teatrami konfrontacji. Poruszyły bowiem najważniejsze dla nas sprawy społeczne i polityczne w sposób, w jaki dawno o nich nie mówiliśmy, śmiało konfrontując rozmijanie się zamierzeń z realizacją. Zmuszały też do „rozliczenia" się ze sobą, do prywatnych odpowiedzi na pytanie: byłem tylko kibicem współtworzącym zło, czy usiłowałem mu przeciwdziałać? Wypełnione były polskością i polityką aż do ostatka. I obojętne było, czy przemawiały publicystyką, poezją czy prozą artystyczną. Ważne było, że mówiły o aktualnych sprawach, o które spieraliśmy się w ostatnim roku, że były żarliwe i pełne poczucia społecznej odpowiedzialności.

Inspirowana ubiegłorocznymi wydarzeniami politycznymi wypowiedź teatralna zespołu „77" pt. „Koło czy tryptyk" — obraz tragicznych, chwytających za gardło fragmentów powojennego życia kraju i przerażającego „chocholenia" społeczeństwa — mogła powstać tylko tu i teraz. Po wypadkach, które wstrząsnęły nami, zmieniły sposób myślenia i życia. Przerywanie koła błędów i pomyłek stagnacji, „tumiwisizmu" i pobożnych życzeń, branych za rzeczywistość, głupiej zabawy i beztroski, otwarte spojrzenie na prawdę ostatnich lat i wielka chwila spojrzenia w siebie — składały się na przeżycie tak dużego formatu, że nie oddadzą go typowe recenzenckie cenzurki.

O wiele bardziej „teatralny" (ale i też efekciarski) był spektakl teatru „STU" — „Sennik polski", zbudowany przez K. Jasińskiego z fragmentów Wyspiańskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Konwickiego, Kadena. Sceniczna dyskusja na temat snu polskiego, losu Polski i Polaków, naszych wad i przymiotów, niemożności czynu i głupoty. Był to spektakl zagrany na nucie najwyższej, szarpiący nerwy i zmysły, w którym jeden pomysł wydawał się ciekawszy od drugiego, wykorzystujący środki już to bardzo proste, już to niezwykle wyrafinowane i przewrotne.

Wyraźnie zaznaczyły także swą obecność w tegorocznych Spotkaniach: „Spisek" Zdzisława Hejduka w „Teatrze 77" (świetnie skonstruowana i zagrana drwina z „małego swojskiego politykowania"), ST Pantomimy „Gest" z „Karuzelą" A. Leparskiego, ST Uniwersytetu Jagiellońskiego „Pleonazmus" ze spektaklem „Teatr Pana Białoszewskiego" (ciekawa próba przetransponowania lingwistycznej twórczości Mirona Białoszewskiego na język teatru).

Znów porażkę poniósł w Łodzi „Gong-2" z Lublina, którego dyrektor i „właściciel", Andrzej Rozhin zmontował z tekstów staropolskich i angielskiego moralitetu „Everyman" widowisko pt. „Każdy". To bogate, barwne i pełne zapożyczeń przedstawienie (nie bardzo skromnie odnoszone do realizacji Dejmka) miało w założeniu przemówić o dniu dzisiejszym, tekstami sprzed lat kilkuset. Na tle gorących, współczesnych teatrów politycznych Łodzi, Poznania i Krakowa brzmiało, jak czystej wody anachronizm. W korowodach biczowników i żebraków, rozważaniach na temat kondycji ludzkiej, życia, śmierci i wierności zgubił Rozhin to, czym dziś żyjemy.

Warto jeszcze odnotować dwa bardzo udane spektakle towarzyszące Spotkaniom: „Szkołę błaznów" M. de Ghelderode w wykonaniu teatru „Stu Krzeseł" z „Pałacyku" i „Salon Niezależnych" — kabaret Warszawskiego Klubu Medyka. Było też wiele wieczornych i nocnych rozmów i dyskusji, nie pozbawionych niekiedy demagogii i pustosłowia.

Pozostaną w pamięci VIII ŁST, jako przegląd polskiego młodego teatru, walczącego o postęp i prawdę. Teatru wrogiego propozycjom minimalistycznym i usypiającym.

* * *

Główną nagrodę Spotkań otrzymała wypowiedź teatralna „Teatru 77", „Koło czy tryptyk" (scenariusz: R. Bigosiński, Z. Hejduk, reż. A. Podgórski, B. Popow), nagrodę MKiS „Teatr Ósmego Dnia", a nagrodę MOiSzW — Teatr „STU". Nagrody indywidualne otrzymali m. in. Z. Hejduk, L. Raczak, K. Jasiński. Wyróżnienie ST „Pleonazmus".

PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

LITERATURA I POLITYKA

W przyszłym roku minie dziesięć lat od śmierci Leona Kruczkowskiego, autora „Niemców" i „Pierwszego dnia wolności", a także znanych powieści „Pawie pióra" i „Kordian i cham". Obecnie, jak by w przeddzień tej rocznicy, otrzymaliśmy dwutomowy wybór jego pism publicystycznych *). Właściwie to nie wybór, lecz chyba całość jego dorobku publicystycznego. Obejmują te dwa tomy rzeczy napisane przez L. Kruczkowskiego przed wojną i po wojnie. A więc: „Człowiek i powszedniość", „Wzdłuż, nie w poprzek dziejów", „Dlaczego jestem socjalistą", „Spotkania i konfrontacje", czyli rzeczy, które już kiedyś ukazały się oddzielnie. Ponadto do obecnej edycji włączono artykuły i wspomnienia, nie ogłaszane dotychczas w wydaniach książkowych. Są tu również autokomentarze do sztuk pisarza. Tytuł „Literatura i sztuka" nie jest przypadkowy. Leon Kruczkowski był pisarzem zaangażowanym od początków swej twórczości i pozostał nim do końca życia. Literatura i polityka to pojęcia, które w jego twórczości splatają się w nierozdzielną całość.

Jak dziś, po latach, czyta się wypowiedzi publicystyczne pisarza? Otóż, trzeba powiedzieć, że czyta się je na ogół dobrze. To nic, że to lub owo uległo przedawnieniu czy też nie wytrzymało tzw. próby życia. W większości jednak publicystyka Kruczkowskiego zaleca się rzetelnością, przemyśleniem i ugruntowanym podejściem do zagadnienia. Szczególnie cenne w tym zbiorze są wspomnienia o innych pisarzach i przemówienia. Kruczkowski uchodził za pisarza „zimnego". Tymczasem w tych właśnie wspomnianych i przemówieniach okolicznościowych (nad grobem Tuwima, z okazji jubileuszu M. Dąbrowskiej) ukazuje się nam Kruczkowski, który potrafi głęboko się wzruszyć i pięknie to swoje wzruszenie wypowiedzieć. Te dwa pokaźne tomy pism publicystycznych są udanym uzupełnieniem wizerunku Leona Kruczkowskiego jako pisarza i człowieka.

J. K.

*) Leon Kruczkowski: „LITERATURA I POLITYKA", wybór tekstów i opracowanie przypisów Zenona Maczańka, wstęp Stanisław Witold Balicki, 2 tomy, str. 362 i 540, PIW, Warszawa 1971, cena: zł 65.—

PRZENICOWANY ŚWIAT

Ukazał się kolejny tomik z serii „Fantastyka — Przygoda" *). Jest to przekład z rosyjskiego, dokonany przez Tadeusza Goska. Spółka autorska Arkadij Strugacki i Borys Strugacki kontynuuje próby wprowadzenia na rynek czytelniczy ZSRR trudnego gatunku jakim jest literatura naukowo-fantastyczna. Ich tomik „Przenicowany świat" odbiega jeszcze od klasycznych wzorców, żeby wspomnieć choćby Stanisława Lema czy Rosjanina Ilję Warszawskiego. Powieść, jaką nam zaprezentowali, jest poprawna pod względem kompozycyjnym i zawiera wszystkie elementy niezbędne dla tego rodzaju literatury. A więc: rozliczność cywilizacji wśród galaktyk, z których jedne osiągnęły niemal szczytowy rozwój, a inne na skutek różnych okoliczności zaczynają przeżywać wyraźny regres i wracają do klasycznych wzorców państwa faszystowskiego, ponadto loty międzyplanetarne, uwikłanie się radzieckiego pilota Maksymiliana w przygodę w kraju opanowanym przez Nieznanych Ojców, których rządy przypominają udoskonalony hitleryzm, niezliczone przygody, nieprawdopodobne zdarzenia, miłość pięknej Rady, intrygi, zawiście... Wszystko, jak to zwykle bywa w bajkach i powieściach fantastycznych, kończy się dobrze.

„Przenicowany świat" jest lekturą do poduszki, powieścią zarówno dla młodych jak i dla tych najstarszych, bowiem zawsze będzie nas pociągała przyszłość, choćby była wymysłem. To, co będzie, jest bardziej interesujące niż to, co pozostaje za nami. Dlatego zachęcam czytelników do skonfrontowania własnej wizji przyszłego świata z wizją przedstawioną w książce „Przenicowany świat".

E. I.

*) Arkadij Strugacki i Borys Strugacki: „PRZENICOWANY ŚWIAT". Przekł. Tadeusza Goska. ISKRY. 1971 r. Stron 352. Cena 15 zł.

---

stwa nazi. Przewaga wojskowych nad cywilami z okresu pierwszej wojny, to wynik osobistych kontaktów Ludendorffa.

W zakresie poglądów na najbliższą przeszłość w NRF wyolbrzymia się opozycję generalską i opozycyjne nastroje wśród wysokiej hierarchii urzędniczej. Historycy w NRF z uporem powtarzają, że nazizm był obcy niemieckiej naturze, że był importowany do Niemiec. Dla tych historyków jest też charakterystyczne pomijanie milczeniem lub sprowadzanie do minimum opozycji lewicowej przeciwko Hitlerowi. Typowym przykładem jest tu ostatnia książka H. Rothfelsa o opozycji antyhitlerowskiej, wydana w roku 1969, czy wspólnie z Ritterem wydana poprzednio monografia, poświęcona niefortunnemu kandydatowi na kanclerza w spisku z lipca 1944 roku, K. Goedelerowi (1955).

Wśród historyków zachodnioniemieckich mamy lewe skrzydło, reprezentowane przez Golo Manna, który w swej historii Niemiec w XIX i XX wieku nie ukrywa swej pogardy dla reżimu narodowo-socjalistycznego. Teoretycznie G. Mann wypowiada się przeciw koncepcjom wielości kultur niezależnych, opowiada się za możliwością napisania historii ludzkości, które to humanistyczne stanowisko zbliża go do marksistów. Mamy przecież też prawe skrzydło np. w Hubatsch, którego obrona rządów Hindenburga jest, de facto, rehabilitacją pierwszego okresu rządów Hitlera. Co prawda, jeszcze dalej posunęli się niektórzy historycy angielscy, rozgrzeszając Hitlera z odpowiedzialności za wybuch wojny. Oczywiście książka D. Hoggana, „Der erzwungene Krieg", została natychmiast przetłumaczona i wydana w NRF (1961). Wprawdzie można było w NRF odnotować pewne głosy krytyki w stosunku do tych zaskakujących twierdzeń o tym, że odpowiedzialność za wybuch wojny ponosi Anglia i Polska, ale prasa rewizjonistyczna, prasa przesiedleńców, zatarła ręce z ucieczki. To wśród tej prawicy historyków odnaleźć można takie rewelacyjne stwierdzenia jak to, że „żaden naród nie stwierzył tak silnego ruchu oporu, jak Niemcy". Ulubioną tezą konserwatywnych historyków NRF jest twierdzenie, o tzw. Diskontinuitaet. Niemcy weszły na złą drogę, ale weszły nie same, weszły popchnięte do tego przez ruchy europejskie, hitleryzm nie wynikał z tradycji państwa pruskiego, z tradycji militaryzmu, był czymś obcym, narosłą — to jest właśnie owa teza o „Diskontinuitaet". To są historycy, którzy wkładają wiele wysiłku, by „wypolerować" obraz państwa pruskiego, uczynić go niewinnym, atrakcyjnym. Do wyjątków należą sądy krytyczne o polityce Bismarcka (Eyck), przeważa dawna apologia „żelaznego kanclerza", którą i dziś powtarza H. Rothfels, należący przecież do grupy historyków wraz z Ritterem, wołającym o odnowę starych sądów historycznych.

Postępowi historycy w NRF nawiązują do koncepcji Maxa Webera, do poglądów K. Lamprechta, chcą czerpać wzory z postępowej francuskiej szkoły historyków, zgrupowanych wokół czasopisma „Annales", czynią to jednak bardzo nieśmiało, z dużymi oporami, wzdrygając się przed dalej idącymi konsekwencjami tych nowości. Nie ulega jednak wątpliwości, że w NRF dorasta nowa generacja historyków, pragnących zerwać ze starymi wzorami Rankego, chce badania historyczne oprzeć na socjologii, likwidować ostatecznie tak długo tolerowany prymat historii politycznej i to wąsko pojętej, np. bez badania opinii publicznej. Te ostatnie są obecnie w NRF bardzo modne.

Na dwudziestym siódmym kongresie historyków w NRF (r. 1967) miała miejsce jeszcze jedna obrona historii dawnej, ale większość dyskutujących przechodziła już na pozycje historii społecznej. Termin „struktura" wylansowany przez Diltheya znowu jest na czasie, wypiera go nowszy termin — „model", dla określenia pewnych typów gospodarowania, ale także typów mentalności.

Specjalne czasopismo poświęcone historii współczesnej, wydawane w Monachium, początkowo wyspecjalizowało się w dostarczaniu materiałów z procesów przestępców wojennych. Teraz chętniej poszukuje faszyzmu poza Niemcami, redaktorzy nie myślą o apologii faszyzmu; ale odgradzają się od samobiczowania, czy samoudręczenia.

Zdecydowanie nowy powiew odczytać można w dwu pracach K. D. Bracha: jednej, poświęconej upadkowi republiki weimarskiej, drugiej — objęciu władzy przez Hitlera. W NRF powołano do życia katedry nauk politycznych, wychowankowie tych katedr zdradzają świeży pogląd na charakter badań dziejów. Charakter poniekąd demaskatorski posiadają dwie książki F. Fischera: „Griff nach der Weltmacht" i druga — „Kriegszielpolitik des Kaiserlichen Deutschlands", gdzie autor pokazał cele aneksjonistyczne nie tylko generałów, ale wielu osób cywilnych. Pokazał, jak w czasie pierwszej wojny światowej nie tylko myślano o zaborach, ale chciano stworzyć obszerny rynek dla niemieckiego przemysłu. Celem wojny miało być uzyskanie hegemonii w Europie. Autor podkreśla, że w cesarskich Niemczech nie było opozycji przeciw tak sformułowanym celom wojny. Inny autor odważył się śmiało zauważyć, że dotychczas nie pokazywano kręgów nacisku na Bismarcka. Książka ukazała się z przedmową Fischera. Zaczyna być przełamywana także zmowa milczenia w stosunku do dziejów ciężkiego przemysłu w okresie imperializmu.

Można stwierdzić, że to przełamywanie starego odbywa się w NRF bardzo powoli. Trzeba mieć nadzieję, że jest to proces nieodwracalny, że nie powrócą czasy kultu państwa siły.

Artykuł oparty jest o świeżo wydaną w Monachium książkę G. G. Iggers „Deutsche Geschichtswissenschaft". (Muenchen, 1971. str. 398).

HORACY SAFRIN

Sztuka pożycia małżeńskiego

W kawiarni sąsiaduję zazwyczaj o szerokość fotela ze stolikiem, przy którym siedzą, dzieląc się najnowszymi nowinami „z wiarygodnego źródła", posiadacz chabrowego „Fiata" i prawnik. Jest zatem rzeczą nieuchronną, iż strzępy ich pogawędek docierają częstokroć do moich uszu.

W sylwestrowe popołudnie, gdy lokal zaczął się z wolna wyludniać, automobilista zagadnął przedstawiciela palestry:

— A wiesz, ile par stanęło w okresie świątecznym na kobiercu ślubnym? Wyobraź sobie, tysiąc młodzieńców powiodło swoje wybranki do ołtarza!

— A ty wyobraź sobie — replikował mecenas — ile wyniknie z tego rozwodów. No cóż, będziemy mieli ręce pełne roboty...

— Hm... — westchnął pierwszy z rozmówców, wyławiając resztki bitej śmietanki z „ptysia". — Niedobrane małżeństwa, a tym samym rozwody stają się, obok alkoholizmu, drugą klęską narodową... Czy coś podobnego mogło się przyśnić naszym fin de siecle'owym prababkom?

Ta podsłuchana rozmowa w dziwny sposób skojarzyła mi się z opinią pewnego malkontenta — zresztą kolegi po piórze — który samą koncepcję szczęścia małżeńskiego nazwał „kiepskim żartem"...

Co do mnie, z natury nie jestem czarnowidzem, a w sprawach stanu cywilnego wykazuję karygodną wprost niewiedzę. Niemniej, z perspektywy lat, jako człowiek, który przebył wszystkie etapy stanu cywilnego — byłem po kolei kawalerem, żonatym, rozwiedzionym i wdowcem — chciałbym wtrącić swoje trzy grosze do poruszonego przez moich kawiarnianych sąsiadów tematu.

Bo jak to wyglądało, proszę państwa, drzewiej?

W moim archiwum zachowały się pewne relacje z sali sądowej, które dziś zakrawają chyba na anegdoty. I tak: w Wiedniu, bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, nauczyciel gimnazjalny, onże rodzic dwojga nieletnich dzieci, wytoczył sprawę rozwodową swojej prawowitej małżonce. Powód? Niewiasta — w czasie, gdy zaopatrzenie stolicy naddunajskiej poważnie szwankowało — otrzymywała regularnie od swego papy-wędliniarza dwie pary serdelków, którymi (horribile dictu!) nie dzieliła się lojalnie z głową domu. Najciekawszy był jednak wyrok w tym niecodziennym procesie: sędzia, któremu prawdopodobnie wezbrała ślinka w gębie, okazał pełne zrozumienie dla pokrzywdzonego małżonka i orzekł „separację od łoża i stołu", albowiem ostateczne unieważnienie sakramentu małżeńskiego zależało od konsystorza i Watykanu.

W innym znów przypadku przewód sądowy ustalił, że mąż, zapalony myśliwy, po utracie wyżła w te słowa odezwał się do swojej połowicy: „Teraz, gdy zdechł mój ukochany Nero, mam tylko ciebie jedną na świecie..."

Na koniec drobny epizodzik z lat trzydziestych. Mój znajomy, pan Dominik, starszy radca Województwa, chciał zmusić jedyną córkę do poślubienia podstarzałego kauzyperdy.

— Ależ tatusiu! — protestowała dziewczyna. — Przecież ja go nie kocham!

— Sancta simplicitas! Naiwne dziecko! A czy ja twoją matkę kochałem w dzień ślubu? Nic podobnego. Ja jej wtedy nie kochałem, ja jej i dziś nie kocham. Mimo wszystko, stanowimy wzorowe stadło i nie możemy uskarżać się na brak potomstwa...

Przytoczyłem tylko trzy przykłady, a mógłbym je mnożyć w nieskończoność. Rzecz jasna, że w „błogich" czasach, o których powyżej mowa, statystyczna liczba rozwodów i nieszczęśliwych małżeństw była znacznie mniejsza. Przytłaczająca większość kobiet nie pracowała, wiodła więc żywot uczciwej białogłowy, zdanej na łaskę i niełaskę jedynego żywiciela, jakim był „pan i władca" domu. Po wtóre: ludzie związani stułą woleli przez długie lata być sobie wzajemną udręką, byle nie naruszać praw kanonicznych i nie narazić się opinii publicznej, zrodzonej w mrokach Ciemnogrodu. Była to — jak wyraził się cytowany na wstępie malkontent — „bezterminowa niewola"...

A istniała już w owych „błogich" czasach — u schyłku ubiegłego stulecia — obok uświęconej instytucji matrymonialnej szeroko rozgałęziona konfiguracja trójkątów małżeńskich, otoczonych zmową milczenia towarzyskiej elity. Poruszył ten drażliwy temat znacznie wcześniej (bo w latach osiemdziesiątych) Lew Tołstoj w „Kreutzerowskiej sonacie", a w „Epilogu" do tej opowieści wysunął tak śmiałe koncepcje, dotyczące pożycia dwojga ludzi, że wywołały one, jeśli nie skandal, to zgorszenie w sferach mieszczańskich i dworskich. Przed pierwszą wojną światową głowiły się nad tym zagadnieniem najtęższe mózgownice Europy i krajów zamorskich. Kiedy przebywałem na studiach we Wiedniu, znany seksuolog dr Rudolf Urbantschitsch wygłosił odczyt, w którym bronił (nie na żarty!) idei czworokąta małżeńskiego — to jest dwóch zżytych ze sobą par, które po upływie umownego terminu... wymieniają pomiędzy sobą małżonków.

A przeszło sto lat temu pisał w „Rzeczach minionych i rozmyślaniach" nieugięty szermierz praw człowieczych, Aleksander Hercen:

„Po to, by się ludzie mocno ze sobą związali, by się nierozerwalnie spokrewnili, nie wystarczy tylko samo podobieństwo (charakterów). Jedynie taka miłość może być głęboka i trwała, która jest wzajemnym uzupełnieniem się (podkreślenie moje); dla miłości czynnej potrzebne są zarówno różnice, które dzielą, jak i podobieństwo; bez tych różnic uczucie miłosne jest apatyczne, męczące i przeradza się w przyzwyczajenie".

Piewca urody życia Owidiusz napisał ongiś piękny poemat „Sztuka kochania". Jak dotychczas, nie znalazł się jeszcze taki natchniony wieszcz, który by pomyślał o „Sztuce pożycia małżeńskiego". Bo jakże zawrzeć w mowie wiązanej przesłanki zgodnego pożycia dwojga młodych ludzi — przesłanki, jakimi są: niekłamany afekt, przywiązanie, wyrozumiałość i — last not least — nie deptanie sobie po piętach?

Osobiście jestem i pozostanę chyba do końca dni moich zwolennikiem tej najmniejszej, a jednak niezastąpionej komórki społecznej, jaką jest małżeństwo. Toteż przyznaję, że z ciężkim sercem i mieszanymi uczuciami ułożyłem i puściłem w świat fraszkę:

Mądry Polak po szkodzie,
a Polka — po rozwodzie.

TP OBIEKTYW

CO NAS BAWI, KTO NAS BAWI?

Bardzo aktywny reporter telewizyjny Tadeusz Kraśko dokonał ostatnio filmowego zwiadu naszego przemysłu rozrywkowego, ograniczając się w zasadzie do terenu Warszawy (reportaż filmowy „Brawa i brawka", TV Warszawa, 27.XII.71). Bilans nie wypadł zbyt budująco, na każdym niemal kroku ogarniały autora wątpliwości, rollo się od znaków zapytania

Współczesne społeczeństwo, rozrośnięte i stojące wobec pewnych wspólnych zadań i obowiązków, wprowadziło czynnik daleko posuniętego zorganizowania szczególnie w dziedzinie produkcji. Działanie w kolektywie, uleganie prawom kolektywu stało się pewnym nawykiem człowieka dnia dzisiejszego.

Ale w każdym człowieku są dwie jakby sfery aktywności. Jedną określa się jako homo faber — człowiek wytwórca, człowiek pracujący. Druga sfera, to — jak to nazywa holenderski filozof kultury Johan Huizinga — homo ludens, człowiek bawiący się, względnie poszukujący możliwości zabawienia się. Na to zapotrzebowanie natury ludzkiej odpowiadać musi dzisiaj przemysł rozrywkowy.

Trzeba bowiem to stwierdzić, że człowiek stał się w zakresie poszukiwania rozrywki mało samodzielny. Jednocześnie zaś potrzebuje jej coraz więcej. „Kultura archaiczna — pisze wybitny socjolog francuski Edgar Morin — oddzielała dni świąteczne od życia codziennego. Kultura masowa rozprzestrzenia się i wnika we wszystkie szpary życia codziennego". Zapotrzebowanie na rozrywkę rośnie więc w sposób nieustanny.

Kraśko uzbrojony w kamerę filmową penetruje instytucje i miejsca, gdzie rodzi się produkcja rozrywkowa, rodzi się na zasadzie coraz bardziej wielkoprzemysłowej, by podołać gigantycznemu zapotrzebowaniu. Penetracja ta nie prowadzi jednak do imponujących stwierdzeń. Na każdym kroku napotykamy na bezkonkurencyjność, ubogi wachlarz form, a nierzadko i niski poziom oferowanych usług w tym zakresie.

Nic dziwnego, że w komentarzu autorskim Kraśki nie brak tonu ironii Nocne programy w restauracji „Kongresowa", świat iluzji Polaka na delegacji, kiepskie naśladownictwo lokalików striptiserskich z placu Pigalle! Chyba nie tędy droga! A piosenkarstwo? Systemem intensywnej reklamy i nakręcania koniunktury udało się opanować znaczną część społeczeństwa iście sportową pasją kibicowania. Nawet ludzie pozbawieni całkowicie słuchu muzycznego potrafią się pasjonować wynikami festiwalu sopockiego, czy opolskiego.

Czy to wzmożone zainteresowanie piosenką wpływa na podnoszenie się poziomu piosenkarstwa? Raczej nie. Publiczność o wyrobionym guście muzycznym byłaby bardziej wymagająca i nie dopuściłaby na estradę niektórych idoli naszej piosenki. U nas wylansować można nawet miernego piosenkarza czy piosenkarkę, a brak wszelkiego wyszkolenia jest niemal zasadą. Dotyczy to zarówno techniki śpiewaczej, jak i interpretacji

Powyższe uwagi snuję raczej na marginesie reportażu Kraśki. On sam jest w wypowiadaniu sądów bardziej powściągliwy. Woli oddać głos naszym specom od rozrywki, takim jak Lucjan Kydryński, Janusz Rzeszewski, czy ideolog polskiej kultury masowej — Krzysztof Teodor Toeplitz. Z wypowiedzi tych luminarzy trudno wysnuć jakąś konstruktywną diagnozę. Nie jest dobrze, to pewne. Ale co zrobić, by było lepiej?

Mówiło się sporo w reportażu Kraśki o potrzebie podniesienia autorytetu samej działalności rozrywkowej. Całe lata, w których o rozrywce decydowali ludzie niewłaściwi — nierzadko chałturnicy lub błękitne ptaki — nadwerężyły zaufanie społeczeństwa do tej dziedziny twórczości. Zaufanie to trzeba odbudowywać, przyciągać do współpracy ludzi najlepszych, najwartościowszych.

Dobrze, że telewizja — jeden z najpoważniejszych odbiorców produkcji rozrywkowej — zajęła się tym tematem. Reportaż Kraśki traktować jednak należy jako zaledwie muśnięcie sprawy. Potrzeba nam chyba szerokiej i poważnej dyskusji o tak pozornie niepoważnej dziedzinie, jaką jest rozrywka.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

POLONICA

SYMPOZJUM WARSZAWSKIE

W dzienniku „Neue Zürcher Zeitung" (3.XII.71) ukazało się sprawozdanie z odbytej w Warszawie sesji naukowej, poświęconej poezji Františka Halasa z okazji 70-tej rocznicy urodzin czeskiego poety, który zmarł dwadzieścia dwa lata temu. Sympozjum zorganizował Zakład Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk, a udział w nim wzięło 40 uczonych i badaczy z kilkunastu krajów. Z polskiej strony referaty wygłosili: Jerzy Sliziński (Warszawa), Jacek Kolbuszewski (Wrocław), Edward Madany (Warszawa) i Jacek Baluch (Kraków). Jak informuje szwajcarski korespondent, Jan Peter Locher, wszystkie wygłoszone referaty ukażą się wkrótce na łamach „Pamiętnika słowiańskiego". Sprawozdawca nie szczędzi słów uznania sympozjum, które było ciekawe i dobrze zorganizowane.

M. BRANDYS PO NIEMIECKU

Głośna w Polsce książka Mariana Brandysa „Co z tą Walewską?" doczekała się przekładu na język niemiecki. Przekład przysposobił znany i zasłużony tłumacz literatury polskiej, Klaus Staemmler, a ogłosiła drukiem oficyna wydawnicza Insel-Verlag we Frankfurcie nad Menem. „Neue Zürcher Zeitung" (z 3 grudnia ub. roku) zamieszcza recenzję przekładu książki M. Brandysa, przypominając również inne jego dzieło, mianowicie „Kozietulski i inni". Recenzent pozytywnie ocenia zarówno walory książki jak i jej tłumaczenie na niemiecki. Warto nadmienić, że w tym samym numerze „Neue Zürcher Zeitung" znajduje się artykuł „Napoleon i Europa", stanowiący omówienie książki, jaka pod tym tytułem ukazała się niedawno w Kolonii (NRF). Z recenzji dowiadujemy się, że w tomie, który jest zbiorem prac różnych autorów, zamieściła swoją rozprawę Monika Senkowska-Gluck pt. „Księstwo Warszawskie".

LITERATURA AUSTRIACKA W POLSCE

Miesięcznik austriacki „Literatur und Kritik" poświęcił swój najnowszy numer (z listopada br.) recepcji literatury austriackiej w innych krajach. Zabierają w nim głos krytycy i publicyści z Anglii, Francji, Włoch, Indii, Jugosławii, Polski i Turcji. O literaturze austriackiej w Polsce pisze Edmund Rosner. Autor artykułu wylicza pracowicie ilość przełożonych po roku 1945 książek pisarzy austriackich, wspomina również o przekładowcach i krytykach, popularyzujących tę literaturę w naszym kraju. Wypowiedź Edmunda Rosnera, napisana kompetentnie, jasno i przejrzyście, dowodzi, że ilość przełożonych na język polski dzieł pisarzy austriackich jest wcale niemała i że są to najczęściej przekłady wysokiej klasy.

Warto nadmienić, że w tym samym numerze miesięcznika znajduje się recenzja z wydanego w NRF wyboru wierszy Tadeusza Różewicza pt. „Öffene Gedichte" w przekładzie Karla Dedeciusa. Nawiasem mówiąc jest to jedna z nielicznych, a może w ogóle jedyna recenzja zagraniczna, która wiersze Różewicza ocenia bez entuzjazmu.

J. K.

FRANCUSKI KRYTYK GOŚCI U NAS

Wybitny francuski krytyk i powieściopisarz, Pierre de Boisdeffre, autor słynnych książek „Metamorphose de la littérature" (1950) i „Une histoire vivante de la litterature d'aujourd'hui" bawił w Polsce, wygłaszając odczyty o poezji francuskiej w okresie okupacji. Odczyty te odbyły się, staraniem Alliance Française i wyższych uczelni polskich w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Katowicach, Gdańsku i Lublinie. Boisdeffre był także obecny na uroczystościach, związanych z przyznaniem doktoratu honorowego Jarosławowi Iwaszkiewiczowi oraz podejmowany przez polski ośrodek Societé Européenne de Culture (S.E.C.).

W. N.

O POLSKIEJ DRAMATURGII

Nakładem Editions Buchet/Chustel (Paryż) ukazał się w 1970 roku francuski przekład książki Martina Esslina pt. „Au delà de l'absurde" (Na marginesie teatru i dramatu absurdalnego). Książka ta jest zbiorem szkiców i esejów głośnego angielskiego krytyka teatralnego, autora słynnej już publikacji o teatrze absurdu. Część głównego rozdziału („Niektórzy współcześni pisarze dramatyczni") Esslin poświęca dramaturgii polskiej, omawiając lub cytując utwory m. in. Witkacego, W. Gombrowicza, T. Różewicza, S. Grochowiaka, Z. Herberta, J. Broszkiewicza, pisze także o Teatrze-Laboratorium J. Grotowskiego. Rzadko na Zachodzie omawia się współczesną dramaturgię polską tak szeroko i w takim zestawieniu nazwisk, nie wytykając błędów w pisowni imion (ale nie nazwisk!) naszych autorów, co Francuzom zdarza się, niestety, dość często. Warto zauważyć, że w indeksie nazwisk zamiast „Witkiewicz St. I." figuruje „Witkacy". Coś to znaczy!

S. K.

„PAŁECZKA" PO FRANCUSKU

Nakładem najpoważniejszego francuskiego wydawnictwa „Gallimard" ukazał się przekład „Pałeczki" Adolfa Rudnickiego, dokonany przez Gilberte Crepy. W tomie tym znajduje się także dziesięć innych opowiadań tego autora. Poprzednio ukazały się już po francusku „Złote okna" i „Kupiec łódzki". Po nowej książce Odojewskiego, opublikowanej w tym roku przez wydawnictwo „Seuil", druga to już polska pozycja tegoroczna na paryskim rynku książkowym.

W. N.

Spektakle tygodnia

ZA OKRES OD 20 DO 26. XII. 1971 R.

TEATRY

		Ilość spekt.	liczba widzów	proc.
WIELKI				
	„Aida"	1	1130	90
	„Madame Butterfly"	1	1260	100
	„Zemsta nietoperza"	1	1100	89
NOWY				
	„Żołnierz i bohater"	2	500	70
	„Sprawa Dantona"	1	700	100
	„Opowieści Lasku Wiedeńskiego"	1	350	50
NOWY MAŁA SALA				
	„Urodziny"	3	240	40
	„Rodeo"	1	100	50
POWSZECHNY				
	„Perła"	1	500	85
	„Ojciec królowej"	2	900	90
JARACZA				
	„Szklanka wody"	3	726	44
OPERETKA				
	„Ach, Nicole"	2	2906	65
	„Bal w operze"	2		
FILHARMONIA				
	2 koncerty symfoniczne		1138	80

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

RZADKI I CENNY DOKUMENT FILMOWY

Jak informuje hamburski tygodnik „Der Spiegel", reżyser Hans Jürgen Syberberg przypadkowo, podczas zmiany mieszka-

Reżyser Syberberg. W tle portret Brechta.

nia w Monachium, znalazł wśród swoich rzeczy, zapomniany od lat film na którym osiemnaście lat temu nakręcał inscenizacje zespołu „Berliner Ensemble" założonego i prowadzonego przez Bertolta Brechta.

Syberberg, dziś trzydziestopięcioletni reżyser filmów dokumentalnych, mając lat siedemnaście nakręcił kilka filmów swoją amatorską kamerą na ośmiomilimetrowej taśmie w roku 1953.

Obecnie taśmy te przekopiował na inne, 35 milimetrowe i dodał komentarz. Filmy te są wielką rzadkością i stanowią niezwykły dokument, cenny dla historii sztuki teatralnej oraz wiedzy o twórczości dramaturgicznej i reżyserskiej Brechta.

Syberberg jeszcze jako uczeń filmował początkowo w Rostocku w teatrze miejskim, gdzie zjawiał się wagarując nieraz ze szkoły. Nakręcał wówczas sztuki Brechta inscenizowane przez jego ucznia Benno Bessona. Potem jednak Syberberg wyjeżdża do Berlina. Spotyka się tam z Brechtem, który chętnie pozwala mu na filmowanie swych sztuk i ich inscenizacji.

Syberberg pracował wtedy bardzo prymitywną kamerą (m. in. bez regulacji ostrości). Co trzy minuty musiał przerywać filmowanie by założyć nową taśmę. Na premierach filmował z loży proscenium, przy próbach zaś Brecht pozwalał mu na filmowanie na scenie.

RZYMSKIE ARCYDZIEŁO ARCHITEKTONICZNE

Do dziś dnia starożytny akwedukt w Segovii dostarcza wodę temu miastu. Został zbudowany w I stuleciu n. e., prawdopodobnie za cesarza rzymskiego Trajana, który z pochodzenia był Hiszpanem. Akwedukt zbudowany jest z granitowych bloków tak umiejętnie i ściśle do siebie dopasowanych, że nie potrzeba było żadnej murarskiej zaprawy. W najwyższym punkcie budowla ta ma 28 metrów wysokości, składa się ze 118 podwójnych łuków biegnących 813 metrów. Woda do tego hiszpańskiego miasta płynie siedemnaście kilometrów ze źródła zwanego dziś „Aguas de Riofrio". Początkowo spływa ona kanałem aż do zbiornika, gdzie zostaje oczyszczona, a jej spływ uregulowany. Dopiero potem wpływa do akweduktu. Pochylenie rynny wynosi 1 stopień.

Przez pięć wieków, ów akwedukt w Segovii, zbudowany przez nieznanego architekta, był nieczynny, a mianowicie w wiekach od X do XV. W owym czasie kilka jego łuków uległo zniszczeniu. W wieku XV w czasie wielkiego rozkwitu gospodarczego Segovii naprawiono zniszczenia i od tej pory akwedukt spełnia tę rolę jaką pełnił i w starożytności.

Akwedukt sprawia niesłychanie dekoracyjne wrażenie w panoramie miasta. Jest doskonale zharmonizowany z całością krajobrazu zabytkowych budynków Segovii i obok celów użytecznych jest interesującym obiektem turystycznym.

ORGANISTA Z WESTMINSTERU

Henry Purcell (1658-1695) żył 37 lat. Jego ojciec Thomas Purcell był tenorem w zespole wokalno-instrumentalnym, tzw. „kapeli" królewskiej. Henry ma lat sześć, kiedy staje się uczniem w tej kapeli. Dwunastu wychowanków tego zespołu uczyło się śpiewu, gry na lutni, skrzypcach i organach. Henry Purcell gdy dorósł, zostaje opiekunem instrumentów kapeli, kompozytorem królewskim i organistą westminsterskiego opactwa. Dziś jego prochy spoczywają w grobowcu wśród grobowców królów i ludzi wybitnie zasłużonych.

Purcella, od wczesnej młodości, prześladowała myśl o bliskim zgonie. Toteż śpieszył się by jak najwięcej pozostawić po sobie utworów muzycznych. Komponował bardzo dużo i bardzo różnorodnie. Obok kunsztownych dzieł muzyki kościelnej na organy lub dla chórów, obok utworów skrzypcowych, oper, tworzył także prościutkie i popularne piosenki oparte na motywach ludowych lub marynarskich.

Za życia znany był głównie jako autor piosenek i utworów na klawesyn. Chętnie komponował też muzykę na najrozmaitsze uroczystości. Jego pieśni i piosenki tak ściśle związały się z Londynem i jego życiem, że kiedy w roku 1728 John Gay napisał swą słynną „Operę żebraczą" trzy arie oparł na melodiach Purcella. Współcześni nie dostrzegali geniuszu kompozytora, nie przypuszczali, że twórczość Henry Purcella była szczytem sztuki muzycznej baroku w Anglii, że wraz z jego śmiercią zniknie na okres dwu wieków świetność angielskiej muzyki, że wprawdzie Purcell miał swych poprzedników lecz nie miał swych następców.

Napisał pięćdziesiąt utworów muzycznych przeznaczonych dla teatrów, a jego „Dydona i Eneasz" jest pierwszą angielską operą. Był to utwór przeznaczony do zagrania przez młode dziewczęta. Dlatego libretto oparte na motywach „Eneidy" Wergiliusza było nieskomplikowane, a kompozycja muzyczna dostosowana do możliwości śpiewaczych niewyszkolonych głosów dziewcząt. Orkiestra składała się zaledwie z czterech instrumentów smyczkowych i klawesynu. A jednak niektóre partie tej opery uchodzą dziś za prawdziwe arcydzieła. Renesans muzyki Purcella w pełnym rozkwicie nastąpił blisko trzydzieści lat temu. Jego muzyka rozbrzmiewa dziś na najpoważniejszych koncertach całego świata.

Część muzyczna jednego z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika „Krugozor" przynosi m.in. nagranie słynnej arii Dydony z opery, Dydona i Eneasz Henry Purcella, niegdyś organisty westminsterskiego opactwa.

„ALICJA W KRAINIE CZARÓW"

„Myślał, że widział Słonia,
który się bawił piszczałką:
Ale przyjrzawszy się bliżej, zobaczył,
że to list od żony:
„Życie zresztą, powiedział,
karmi nas tylko goryczą".

Myślał, że widział Bawoła
hasającego gościńcem:
ale przyjrzawszy się bliżej, zobaczył,
że to bratanica szwagra:
„Niech-że się pani wynosi, powiedział,
bo wezwę zaraz policję".

Który to z surrealistycznych poetów napisał te strofki oparte na grze nonsensów i intelektualnym absurdzie?

Strofki pochodzą z wiersza pt. „Piosenka szalonego ogrodnika", a ich autorem jest pewien matematyk z końca ubiegłego wieku, który jednak nie dzięki matematycznym traktatom uzyskał sławę, lecz dzięki książeczkom pisanym dla małej dziewczynki.

To Charles Lutwidge Dodgson znany jako Lewis Carroll (1832—1898) jest autorem zacytowanych wierszy.

Urodził się w rodzinie anglikańskiego duchownego i matematyka. Studiował w Rugby i Oxfordzie, wyświęcony został na diakona, ale obowiązków kapłańskich nigdy nie pełnił. Był wybitnym matematykiem, autorem szeregu naukowych traktatów m. in. o Euklidesie i jego nowożytnych rywalach.

Książeczkę o przygodach małej dziewczynki napisał dla Alicji Pleasaunce Liddel, zdobiąc swe dziełko własnymi rysunkami. Tak powstała słynna „Alicja w krainie czarów". Alicja Liddel, pierwowzór Alicji z krainy czarów, otrzymała także drugą książeczkę od Carrolla pt. „Po drugiej stronie zwierciadła" — wykład gry w szachy w formie bajkowej opowieści.

Autor „Alicji w krainie czarów" został przez surrealistów uznany za ich prekursora.

Od lat czterdziestu Lewis Carroll jest wielokrotnie tłumaczony na wiele języków, ustawicznie, aż po dzień dzisiejszy, wznawiany, komentowany przez najwybitniejszych krytyków, czytany nie tylko przez dzieci, ale i dorosłych. Na półkach bibliotecznych zajmuje u Anglików jedno z najpoczesniejszych miejsc. Dzieła Carrolla są przedmiotem badań psychoanalitycznych, logicznych, lingwistycznych.

„Wszystko jest w Alicji" — pisze Claude Roy w dodatku literackim „Journal de Genève". „Wszystko jest w Alicji, metafizyka i polityka, zagadnienia moralności i niemoralności, ekonomia i poezja". Dodajmy jeszcze od siebie, że Lewis Carroll uważany jest, jeśli chodzi o warstwę językową jego dzieł, za prekursora pisarstwa Joyce'a i Simpsona.

Obie książki „Alicja w krainie czarów" i „Po drugiej stronie zwierciadła" zostały przerobione przez Saville Clarka na znane operetki.

Bez strachu

LUDZIE Z ULICY

„Ponad wszystko cenię spokój, lecz w każdej chwili gotów jestem zrobić rewolucję"

CZŁOWIEK Z ULICY

Ludzie z ulicy ocierają się o mnie, przechodzą ukradkiem, lub kroczą buńczucznie, dążą do swoich fabryk, warsztatów, do swojego biura. Na głowach noszą stare kapelusze, berety, czapy futrzane, lecz właściwie każdy z nich nosić powinien wyrosłą w czapkę ułańską rogatywkę z olbrzymim pawim piórem. Każdy z nich wierzy niezłomnie, że obok swojej codziennej, szarej pracy potrafi dokonać rzeczy najtrudniejszej, barwnej, niezwykłej, sprzecznej z jego codzienną naturą — bowiem każdy z tych ludzi ma dwie natury: zwykłą i niezwykłą i od niego tylko zależy, by jedna przerodziła się w drugą. A jeżeli istnieją opory przeciw tej przemianie — to opory te tkwią tylko w nim samym, nie w przyczynach zewnętrznych. On, jeżeli uzna to za stosowne, potrafi przemienić wszystko. Spieszę więc obok tłumu suwerenów z których każdy obok pracy przy własnym warsztacie, obok wpięcia w papierki przewidzianej na dzisiaj porcji spinaczy, władny jest przemienić zasadniczo społeczeństwo, Kraj, Europę, ludzkość, galaktykę i metagalaktykę. Mijają mnie jednak, przechodzą. Pozostaje po nich mniej lub więcej pełna, czy pusta ulica. Ja także idę do swojej pracy, w której władny jestem tylko napisać mniej lub więcej słów, a moje słowa nie są testamentem czynu, ani jego wskazaniem. Myślę tak idąc, że gdyby każdy z tych, którzy przechodzą, potrafił dokonać to, w czego możliwość dokonania wierzy, to świat zarolłby się od przemian.

Właściwie powstało by wiele światów, różnorakich, sprzecznych, zderzających się nieprzystosowanymi do współistnienia częściami. Kosmosy i bezwłady promieniowałyby z każdej mijanej jednostki, jak kolorowe, świecące kryształki w kalejdoskopie. A gdzie jest wielki świat współludzki według miary podlegający rozwojowi, według miary płonący i gasnący? Cóż komu po największych nawet przemianach w świecie czysto indywidualnym, w świecie fantazji. Swiat współludzki zalega obok tych przemian nieczuły, niepodległy. Wy wszyscy na ulicy, w których wyrośniętych do rozmiarów ułańskich czapek widzę pawie pióra, gdzie pogubiliście złote rogi, gdzie są rozsiane drogi waszej zatraty? Pragnę ich o to zapytać, pomówić z nimi szczerze, w miarę symbolicznie, w miarę realnie, ale oni ciągle przechodzą, tylko przechodzą szarą, bezkształtną falą.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

BIBLIOTEKA KLASYKI

BIAŁE PŁÓTNO OKŁADEK — TRZEJ REALIZATORZY — 400 POZYCJI — „POŚLIZGI" W PLANACH — WOLTER DLA 10 TYSIĘCY? — ANTOLOGIE — KTO ZGŁOSI UZUPEŁNIENIA? — ZNACZĄCA CAŁOŚĆ.

Od jakiegoś czasu w witrynach księgarń zaczęto ustawiać szeregi estetycznie wydanych książek w białym płótnie. Nowa seria wydawnicza nosi dumną i zobowiązującą nazwę Biblioteki Klasyki Polskiej i Obcej i w zamierzeniu zawierać ma ponad 400 tomów. Rzeczywiście — to już właściwie cała biblioteka.

Trzej główni realizatorzy nowej serii to „Czytelnik", Państwowy Instytut Wydawniczy oraz Wydawnictwo Literackie. Jak się rzekło, wstępny projekt listy tytułów zawiera ponad 400 tomów, ale jest to lista otwarta, a jej obecny kształt dyskutowany jest w Naczelnym Zarządzie Wydawnictw.

Wydawcy informują jednakże na temat wstępnych ustaleń, co pozwoli nam lepiej zorientować się w kryteriach wyboru. Otóż, jeżeli chodzi o polską klasykę, to cezurę stanowią lata zamykające drugą wojnę światową. Warto jednocześnie wspomnieć, że projektowana jest inna, „młodsza" seria Polskiej Klasyki Współczesnej, obejmująca utwory polskich, powojennych twórców i ich najcenniejszy dorobek. W obrębie literatury światowej takiego podziału nie przewidziano.

Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej uzupełniona zostanie antologiami poezji, dramatów i opowiadań, obejmującymi poszczególne obszary językowe, wybory poszczególnych poetów, przy czym całość musi się zamknąć w około 250 tytułach, a zamówienie sieci księgarskiej nie może być mniejsze niż 20 tysięcy egzemplarzy.

Przed sobą mam listę trzydziestu pozycji zaplanowanych na rok, który się właśnie zakończył. Oczywiście wiele tytułów trafiło do tradycyjnego „poślizgu" — wydanie trzydziestu książek w ciągu roku okazało się zbyt trudne. Rok 1971 zamknięto wydaniem niespełna jednej trzeciej zaplanowanych pozycji. Tak więc już u samego startu Biblioteki dają się we znaki nasze kłopoty poligraficzne, o których ostatnio głośno.

Nakłady poszczególnych pozycji charakteryzuje ogromna rozpiętość i jest to chyba zabieg prawidłowy, choć można by się spierać, czy naprawdę na „Powiastki filozoficzne" Voltaire'a można znaleźć w Polsce tylko 10 tysięcy nabywców.

Dziesięć tysięcy — to najniższy z planowanych dotąd nakładów w ramach serii. Najwyższe nakłady — 100 tysięcy egzemplarzy — zarezerwowano w planie roku 1971 dla Sienkiewicza („Nowele"), Prusa („Placówka"), Andersena („Baśnie"), Mickiewicza („Pan Tadeusz"), Żeromskiego („Przedwiośnie") i Kraszewskiego („Chata za wsią").

Napisałem „w planie roku 1971", choć większość z podanych wyżej pozycji ukaże się dopiero w roku bieżącym. Podobnie jak „Iliada" Homera, „Zbrodnia i kara" Dostojewskiego, czy „Wiersze i poematy" Słowackiego. Nie wiem więc, czy jest sens prezentować w każdym wydanym tomie listę pozycji na rok bieżący, skoro wiadomo, że wartość informacyjna takiego zestawu stoi pod „poślizgowym" znakiem zapytania.

Niezależnie jednak od westchnień nad planem i poligrafią, trzeba stwierdzić, że propozycje Biblioteki są imponujące. W dziale antologii przewidziano nawet „Antologię epistolografii romantycznej", zawierającą m. in. listy Chopina, Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Norwida..., „Komedie polskiego Oświecenia", zawierające m. in. „Powrót posła" Niemcewicza, „Fircyka w zalotach" Zabłockiego, „Krakowiaków i górali" Bogusławskiego..., a z klasyki światowej „Klasyczny teatr francuski" (Corneille, Racine...), „Teatr grecki" (Ajschylos, Sofokles, Eurypides, Arystofanes...), „Historycy greccy i rzymscy", „Baśnie z 1001 nocy"...

Oczywiście nie starcza miejsca, aby wymienić choćby połowę z planowanych tytułów Biblioteki, ale można wierzyć na słowo, że jest to wybór reprezentatywny zarówno w wypadku klasyki polskiej, jak i obcej. Rzecz prosta, każdy wybór, jak każda antologia budzi wątpliwości i refleksje. Na pewno poszczególni historycy literatury zgłoszą swoje listy uzupełniające, ale przecież wierzymy, że uzupełnień dokona się nie kosztem eliminacji już zaplanowanych pozycji. Cenne w planach Biblioteki jest bowiem to, że obok głośnego „Ulissesa" mamy w nich i zupełnie nieznaną literaturę chińską i japońską, że obok „W poszukiwaniu straconego czasu" są i „Przygody dobrego wojaka Szwejka"... obok „Pism" Przybyszewskiego, „Wyrąbany chodnik" Morcinka...

W każdym bądź razie Bibliotekę Klasyki Polskiej i Obcej warto kompletować. Wydawcy dokonali wyboru, do którego możemy mieć zaufanie, nawet jeśli na długiej liście książek zabraknie pozycji szczególnie przez kogoś cenionej. Wybór w literaturze jest grą subiektywną, jak sama literatura — niemniej jednak w postaci Biblioteki polski czytelnik otrzymuje pewną istotną i znaczącą całość.

JERZY WIDOK

POLONICA

POLAK DYRYGENTEM W MONACHIUM

Pod batutą Kazimierza Kordy odbyła się w monachijskim teatrze przy Gaertnerplatz premiera „Carmen" w przekładzie i adaptacji Felsensteina, prezentowanej już w Moskwie i Berlinie.

W. N.

CRAIG RICE

CZŁOWIEK, KTÓRY POŁKNĄŁ KONIA

— Ten człowiek — referował słynny kryminolog John Malone — został zabity w sposób szczególnie okrutny. Albowiem leczący go psychiatra, doktor Christian Nash, tak przestraszył swego pacjenta, że ten nagle zmarł.

— Co za głupstwa pan mi opowiada, nic z tego nie rozumiem! — mruczał ze złością kapitan von Flanagan z Wydziału Zabójstw.

Nastąpiła dłuższa przerwa w rozmowie. Obaj przyglądali się zmarłemu Baltazarowi Duckowi, którego ciało przyniesiono przed chwilą z sali operacyjnej.

— Gdzie jest doktor Nash? — zapytał von Flanagan.

— Poszedł odpocząć do swego gabinetu — wyjaśnia pielęgniarka, panna Mary Bruce.

— Co mu się stało? — chciał wiedzieć oficer policji.

— Doznał szoku nerwowego, źle się czuje... Co prawda, jeszcze przed operacją wszyscy wiedzieliśmy, że mister Duck cierpi od kilku lat na serce, lecz kto by przypuszczał, że nastąpi katastrofa. Traktowaliśmy zabieg jako nieszkodliwy żart... Tak, proszę panów, stwierdzam jeszcze raz, intencja była jak najlepsza.

Po chwili milczenia Mary Bruce dodała: — Pani Duck znajduje się teraz w gabinecie lekarza, jeżeli to panów interesuje.

Kryminolog i kapitan policji zbadali jeszcze raz zwłoki denata. Był to mężczyzna dobrze zbudowany, miał czerstwą, szeroką twarz pokrytą drobnymi brodawkami. Na brzuchu zmarłego odznaczał się ślad lekkiego nacięcia, prawie jak zadrapanie skóry.

— Niech pani nam coś jeszcze opowie o przebiegu operacji — zwrócił się von Flanagan do pielęgniarki.

— Najgorszy moment — to było przebudzenie się pacjenta. — opowiadała Mary Bruce. — Zobaczyliśmy, że nagle zaczął gwałtownie łapać powietrze — i za chwilę skonał. O szczegóły proszę zapytać pana doktora.

Potem, zacisnąwszy usta Mary szepnęła: — Pan doktor Nash i pani Elwira Duck przyjaźnią się bardzo ze sobą.

Malone spojrzał na pielęgniarkę. — Śliczna dziewczyna — pomyślał.

— Dziękujemy pani tymczasem za informacje — rzekł von Flanagan. — Spotkamy się jeszcze później.

Kobieta wyszła.

— Malone, jak się pan znalazł w tej sprawie? — zainteresował się kapitan.

— Baltazar Duck był moim klientem — rzekł Malone. — Mówił mi, że leczy się na nerwy i chodzi do pewnego psychiatry, którego poleciła mu żona. Zapytałem, co mu dolega. Odpowiedział, że połknął konia.

— Malone! — krzyknął ze złością oficer policji. — Pan jest chyba pijany!

— Mówię poważnie — upierał się kryminolog. — Baltazar Duck był głęboko przekonany, że połknął konia.

Potem dodał uśmiechając się złośliwie: — O ile sobie dobrze przypominam i panu pewnego razu wydawało się, że pan połknął muchę.

Kapitan wstał. — Chodźmy do gabinetu doktora Nasha! — rzekł.

Gabinet lekarza był na pierwszym piętrze. Gdy weszli do pokoju Nash leżał na tapczanie, był bardzo blady. Pani Elwira Duck siedziała obok tapczanu trzymając w ręce dłoń lekarza.

Na widok wchodzących poderwała się wystraszona i krzyknęła: — Tu nikt nie zawinił!

Psychiatra milczał.

— Czy może mi pan przedstawić, jak naprawdę ta sprawa wyglądała? — zapytał von Flanagan.

— Mister Duck — zaczął opowiadać lekarz — leczył się u mnie od dwóch miesięcy. Cierpiał na urojenia. Ostatnio był przekonany, że połknął konia. Jego depresja powiększała się z dnia na dzień. Cóż miałem robić? Chcąc go ratować postanowiłem zainscenizować małe oszustwo, absolutnie nieszkodliwe. Wytłumaczyłem mu, że należy zrobić operację i usunąć konia z żołądka. Wyraził zgodę, podobnie jak jego żona. Sprowadziliśmy chorego do szpitala i uśpiliśmy na sali operacyjnej. Następnie dokonaliśmy na jego brzuchu małego nacięcia, które miało imitować przeprowadzoną operację.

Nim się przebudził wprowadziliśmy na salę operacyjną żywego konia. Nie powiem, żeby to była rzecz stosowana w praktyce lekarskiej, ale czego się nie robi dla wyleczenia nerwowo chorej osoby. Sądziłem, że gdy Baltazar Duck przebudzi się z narkozy, wyjaśnimy mu, iż dokonaliśmy operacji i wyciągnęliśmy z niego konia. Przewidywałem, że pacjent zostanie całkowicie wyleczony ze swych urojeń, byłem jak najlepszej myśli... A tymczasem...

Nash zamilkł i skierował wystraszone oczy na obecnych.

— Proszę opowiadać dalej! — rozkazał kapitan policji.

— Po kilkunastu minutach pacjent ocknął się z uśpienia, spojrzał na stojącego na sali konia... i padł martwy.

— Trudno, panie doktorze, musimy stwierdzić, że zaszedł fakt morderstwa — wtrącił kryminolog. — Wiedzieliście przecież, iż Baltazar Duck ma chore serce. Wynikało z tego, że najmniejszy szok może go zabić. Co pan na to powie, doktorze?

Lekarz odwrócił głowę do ściany i milczał.

— I co mi się jeszcze wydaje — kontynuował Malone, że pan, doktorze, i obecna tu szanowna wdowa macie pewne projekty na wspólną przyszłość...

— Proszę nam tego dowieść! — przerwała pani Elwira Duck.

— Spokojnie, proszę pani, zaraz udowodnię — rzekł Malone. — Pani mąż wyłożył wszystko w liście napisanym do mnie na kilka dni przed śmiercią. Przedstawił swoją chorobę, diagnozę psychiatry oraz projekt operacji w celu usunięcia konia. Nie wiedział — i nie mógł wiedzieć — o pewnym tricku, który postanowiliście zastosować. Właśnie ten trick zabił pani męża.

* * *

Niedługo potem obaj panowie udali się do baru Jima D'Angelo. Usiedli przy małym stoliku w kącie sali. Gdy kelnerka podała im dwa kieliszki dżinu, kapitan von Flanagan rzekł z przekąsem:

— Jestem wciąż pewny, że pan wiele w tym wszystkim sam wymyślił.

— Naturalnie — stwierdził pogodnie kryminolog, dając znak kelnerce, żeby przyniosła następne dwa kieliszki. — Lecz wystarczyło przestraszyć naszego doktorka, który ma usposobienie raczej chwiejne, żeby doprowadzić go do wyznania prawdy. No i podpisali zeznanie, z którego wynika, że oboje czyhali na życie Baltazara Ducka. Dlatego następny dżin musi pan postawić.

— Sprawa nie jest jeszcze taka pewna, jak się panu wydaje — zauważył oficer policji. — Jeżeli Nash odwoła na rozprawie swoje zeznania — a może to zrobić — przewiduję wielkie trudności dla nas w czasie tłumaczenia tej historii sędziom przysięgłym... Malone, niech mi pan powie całą prawdę, wydaje mi się, że czegoś tu jeszcze brakuje!

Kryminolog uśmiechnął się zadowolony i wyjaśnił: — Pan Duck naprawdę wierzył, że połknął konia. Miał istotnie to niesamowite urojenie. I był także przekonany, że zabieg chirurgiczny usunie konia i umożliwi mu powrót do normalnego życia...

Fot. W. Parys

— Więc dlaczego zmarł w tym momencie, gdy spojrzał na konia po przebudzeniu się z narkozy?

— Ponieważ — wyjaśniał cierpliwie Malone — koń na sali operacyjnej był biały. Baltazar Duck zaś wierzył że połknął konia czarnego. I oni o tym wiedzieli.

A. S.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **TADEUSZ TELMA — Łódź wolna**
- **ANDRZEJ MAKOWIECKI — Milicjant nie jest panną do wszystkiego**
- **JAN HUSZCZA — O Tadeuszu Peiperze anegdotycznie i...**

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

Lewym okiem

WSZYSTKO, CO MRUGA

Przyznaję uczciwie, że nudzą mnie potężnie wszystkie literackie próby przedstawiania życia na innych planetach, a tym bardziej rozpasane wyobrażenia o przygodach mocnych ziemskich ludzi wśród dziwotworów, żyjących na dalekich i obcych światach. „Czarownica zmieniła się w wielką wronę, ale Niezgułka zmienił się nagle w źdźbło słomy, potem w motyla, potem w malutką myszkę i bzykając wesoło umknął straszydłu przez lufcik". Tak bywało w bajkach i mniej więcej tak samo odbywają się bitwy na różnych Alfach i Omegach. Co za sztuka ujść niebezpieczeństwu, jeżeli można być na zawołanie słomą, wroną i motylem? To nie wymaga żadnej dzielności ani sprytu od bohatera, a żadnej logicznej wyobraźni od autora, jest więc bezgranicznie łatwe i nudne. Tak samo nudne jest wysłuchiwanie, co się komu śniło; bo i we śnie też jest wszystko możliwe, a zatem też nie wymaga wiarygodnej motywacji.

A jednak wciąż korci umysły ludzkie pytanie, czy naprawdę w tym niezmierzonym mrowiu gwiazd i planet nie ma żadnej, na której coś by żyło, coś by myślało i działało podobnie do stworów, znanych nam tu na Ziemi, z człowiekiem włącznie? Są to pytania młodziutkiej daty, myślę, że nie liczą sobie wiele więcej niż sto lat wieku. Przedtem przez całą historię ludzkości niebo było czymś absolutnie innym od ziemi, było Tamtą Stroną, niepoznawalną, zamieszkałą przez bogów i przez mity. Mało kto zdaje sobie sprawę, jaką rewolucją w myśleniu jest naukowa hipoteza, że gdzieś tam na jednej z wirujących brył materii mogą rosnąć najprymitywniejsze porosty, podobne do syberyjskich mchów: Porosty! Jakaż to ewolucja od czasów, gdy z gwiazdy na gwiazdę rozmawiały ze sobą gromowładne Zeusy, wyznaczając losy marnych ziemskich ludzików!

I dopiero te mchy, ta ostrożna i skromna hipoteza dopuszczająca istnienie może chociaż takiej formy życia we wszechświecie, zbliżyła nam naprawdę przeraźliwie dalekie ciała niebieskie, obłaskawiła je, zadomowiła w naszej wyobraźni. Trzymając się przesłanek naukowych i nie popuszczając zbytnio wodzów fantazji wiemy już prawie na pewno, że podobnych nam istot nie spotkamy nigdy nigdzie. Nie wiemy, czy istnieją. Wiemy, że nie możemy ich spotkać, skoro sygnał świetlny, najszybszy z możliwych, musiałby pomiędzy nami a nimi być w drodze parę tysięcy lat; naszych, prawdziwych, kalendarzowych lat. Parę tysięcy! A i cóż sobie głowę zawracać, kochani...

I wiemy już na pewno, że wszystko to, co mruga nam nad głową, co „spada" w sierpniowe noce, co dostrzec można przez najpotężniejsze instrumenty astronomiczne, to ogromne, martwe bryły kamienia i żużlu, albo chmury rozżarzonych gazów, albo coś pośredniego. Potworna, pusta kupa pumeksu — powiedział rozczarowany kosmonauta, oglądając z bliska jako pierwszy człowiek w dziejach powierzchnię Księżyca...

Już prawie pół tysiąca lat minęło od chwili, gdy Kopernik, dedykując papieżowi Pawłowi III swe niesłychanie zuchwałe dzieło „O obrotach ciał niebieskich", pisał w przedmowie: „Nie jestem ja bowiem tyle do pracy mojej przywiązany, żebym nie miał zważać, co też inni o niej sądzić będą. Zważywszy, że za niedorzeczny wymysł zapewne poczytają moją teorię ci, którzy wielowiekowym sądem zdanie utwierdzone przyjmują, iż Ziemia nieporuszona w przestrzeni nieba jest jakby jej punktem środkowym, ja zaś ponieważ przeciwnie utrzymuję, że Ziemia podlega biegowi, długo wahałem się, czy mój wykład, dowodzący jej biegu, miałem światu ogłosić.

Gdym się więc nad tym zastanawiał, obawa pogardy, jaką na siebie ściągnąć mogłem z przyczyny nowości i niedorzeczności mej teorii w oczach wielu osób, o mało mnie nie skłoniła do zaniechania zamiaru wydania ułożonego dzieła".

A więc zdawał sobie sprawę z podejmowanego ryzyka. Podjął je jednak, odważył się być mądrym. To jeden z najtrudniejszych rodzajów odwagi. Ale tylko on otwiera tajemnice atomu i wszechświata, społeczeństwa i jednostki, energii i materii.

Jak wiemy — UNESCO ogłosiła rok 1972 rokiem kopernikańskim, ku czci wielkiego Mikołaja. Gwiazdy patrzą na nas. Popatrzmy też na gwiazdy, czekają na dalsze zastępy odważnych pionierów.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2714, D-4.